

Tu się kończy
wielkość świata,
Doczesnych trudów
zapłala.

ZYGMUNT GLOGER:

rok polski 3

**dla was
ta biesiada
drobna** 3



**zeznanie
obywatela
Kiszota** 8-9



**docent
w gminie** 12

**pod
własnym
pomnikiem** 14

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

43

(70)

KONTAKTY

1. XI.1981

Cena 6 zł



**skrzydła
wziąć sokole**

Fot. GABOR LÖRINCZY

**JULIUSZ
ŚWIREDO**

CIĄG DALSZY NA STR. 5

NIE DAJMY SIĘ BIEDZIE

zapis męskiej rozmowy

Władze miasta Łomży sprawują swoje funkcje w ciągłej niepewności: gdzie kończą się ich kompetencje a zaczyna wojewódzka działka: jakie poczynania i decyzje muszą mieć przyzwolenie urzędu wojewody, a jakie mogą rościć prawo do samodzielności. Szczególnie teraz, gdy sytuacja wymaga podejmowania szybkich decyzji, nie dawania się biedzie, chcą mieć całkowitą jasność co do swych uprawnień i zakresu odpowiedzialności. Miejska instancja partyjna, by wyjaśnić te wszystkie wątpliwości, zainicjowała spotkanie wszystkich zainteresowanych. W ten sposób chce wreszcie rozstrzygnąć dylemat: kto i za co w mieście odpowiada. Odtwarzamy pierwszą męską władz rozmowę, w której udział wzięli: Jerzy Zientara — wojewoda, Stanisław Ciupa — wicewojewoda, Stanisław Grodzki — przewodniczący Wojewódzkiej Komisji Planowania, Jacek Mieszkowski — architekt wojewódzki, Mieczysław Czerniawski — I sekretarz KM PZPR, Jerzy Newelski — prezydent Łomży. Na ile była ona pożyteczna — pozostawiamy osądowi Czytelników.

WOJEWODA: — Pani się spóźniła, wróćmy zatem do początków naszej rozmowy. Rozpatrujemy punkt pierwszy, dotyczący weryfikacji planu zagospodarowania przestrzennego Łomży na okres do 1990 r.

ARCHITEKT WOJEWÓDZKI: — Od momentu zatwierdzenia planu, praktycznie każdego, zbieramy materiały do aktualizacji lub weryfikacji. Zmienia się bowiem spojrzenie na sposób rozwiązań, zmieniają wytyczne z planów nadrzędnych — planu wojewódzkiego, krajowego. Nasilamy w tej chwili tę fazę pracy: aktualizacja czy nawet opracowanie nowego planu, jeśli dojdziemy do wniosku, że zmian, które trzeba wprowadzić jest dużo. Poruszone tematy do ujęcia w korektę są wszystkim znane.

Najistotniejsza sprawa, to nowe rozwiązanie węzła kolejowego w Łomży. W planie krajowym skorygowano główny kierunek ciągu Augustów — Warszawa — Suwałki, który ma teraz prowadzić przez Ostrów

CIĄG DALSZY NA STR. 4

JAK ROZWIĄZAĆ konkretne sytuacje, będące zarzewiem środowiskowych konfliktów; powstrzymać falę społecznego niezadowolenia, dezorganizacji wielu dziedzin gospodarki; jakimi metodami uwiarygodnić podejmowane przedsięwzięcia i wyzwoleć energię społeczeństwa? Te główne problemy, wynikające z aktualnej sytuacji społeczno-politycznej, omawiano na wojewódzkiej naradzie aktywności partyjnego w Łomży.

12 GODZIN trwało spotkanie przedstawicieli NSZZ „Solidarność” z wojewodą Jerzym Zientarą, prezydentem Łomży Jerzym Nowelskim i ich doradcami na temat poprawy stanu zaopatrzenia województwa w środki konsumpcyjne. Pertraktacje toczyły się w stołówce LZPB „Narew”. Zaczęły się 22 października o 17.00, a skończyły następnego dnia o piątej rano podpisaniem następującego uzgodnienia:

1. Wojewoda zapewni pokrycie potrzeb artykułów reglamentowanych w takim samym rozmiarze jak wynosi średnie zaopatrzenie w kraju, rozdziałając je proporcjonalnie do wielkości określonej przez wydane kartki reglamentacyjne. Po upływie miesiąca Wojewoda wspólnie z Oddziałami NSZZ „Solidarność” dokona oceny tego punktu. W wypadku zaistnienia okoliczności uniemożliwiających realizację w wymiarze średniej krajowej, Wojewoda powiadomi pisemnie właściwe Oddziały NSZZ „Solidarność” na terenie woj. łomżyńskiego.

2. Wojewoda spowoduje do dnia 1 listopada br., przez Wojewódzką Komisję do walki ze spekulacją, wydanie wszystkim Oddziałom NSZZ „Solidarność”, działającym na terenie woj. łomżyńskiego imiennych upoważnień do kontrolowania sklepów, magazynów i towarów w drodze. Płóć upoważnień i nazwiska zostaną uzgodnione w terminie tygodniowym z Przewodniczącymi Oddziałów. Wojewoda uzgodni z Komentantem Wojewódzkim, że: na żądanie upoważnionego kontrolera z „Solidarność” właściwa Komenda Miasta MO oddeleguje funkcjonariusza do pomocy w kontroli.

3. Wojewoda spowoduje przeprowadzenie przeglądu stanu materiałów, maszyn i urządzeń w jednostkach gospodarki społecznej przy udziale przedstawicieli NSZZ „Solidarność” oraz doprowadzi do sprzedaży zbędnych i niewykorzystanych dla rolników indywidualnych w terminie 30.11.1981 r.

4. Wojewoda spowoduje przeprofilowanie produkcji w niektórych zakładach (np. POM, SKR) w celu produkcji artykułów potrzebnych dla rolnictwa w terminie 30.12.1981 r. przy poparciu Samorządów Pracowniczych i Związków Zawodowych.

5. Wojewoda w terminie do 30.10 br. zapewni rozpoczęcie uboju i przerobu żywca w masarniach na terenie woj. wykorzystując zdolności produkcyjne miejscowych ubojni i masarni. Zdolność przerobowa zostanie ustalona przy udziale załóg. Mięso to w ilościach wynikających z przydziału kartkowego zostanie przeznaczone na zaopatrzenie województwa. W miarę wzrostu zdolności przerobowych jednostek spółdzielczych, państwowych i prywatnych pula żywca zostanie zwiększona stosownie do zwiększonego przerobu.

6. Wojewoda w terminie do 30.10 br. podejmie działania zmierzające do skierowania na rynek województwa ponadplanowej produkcji artykułów mleczarskich z zakładów na terenie woj. Podzielając pogląd przedstawicieli NSZZ „Solidarność” o konieczności zapewnienia mleka pełnego dzieciom do 10 lat Wojewoda wystąpi do władz centralnych ze stosownym wnioskiem.

7. Wojewoda spowoduje w terminie do dnia 30.11. br. widoczną poprawę jakości wędlin, pieczywa na terenie woj. łomżyńskiego.

8. Wojewoda w terminie do dnia 30.11 br. spowoduje podjęcie decyzji przekazania nieczynnych młynów poprzednim właścicielom, jeśli zgłoszą taki wniosek.

9. Wojewoda w terminie do dnia 30.10. br. ureguje dostawę gazu tak, aby odbiorcy nieposiadający trzonów kuchennych byli zaopatrywani w gaz nie dłużej niż w dwa dni od czasu złożenia zamówienia, w wyjątkowych przypadkach 4 dni.

10. NSZZ „Solidarność” w ramach swoich możliwości i stosownie do rozwoju sytuacji przyczyniać się będzie do właściwych stosunków w

zakładach pracy i w społeczeństwie. Podpisali: NSZZ „Solidarność” (—) Marian Chojnowski, Wojewoda (—) Jerzy Zientara, Łomża, dnia 23.10.1981 r.

NIE DOTARLI NATOMIAST na spotkanie reprezentanci Grajewa i Rajgród. Nyska, którą jechali, uległa bowiem wypadkowi, w którym śmierć na miejscu poniósł 31-letni działacz NSZZ „Solidarność” w Rajgrodzie, Bogdan Łojewski. NSZZ i NSZZ RI „Solidarność” ogłosiły trzydniową żałobę i wywiesiły flagi z czarnym kirem. Pogrzeb Łojewskiego odbył się w niedzielę 25 października, z udziałem licznej delegacji obu związków. W ciężkim stanie przebywają nadal w szpitalu: Bronisław Chelmiński, przewodniczący Komisji Koordynacyjnej z Grajewa i kierowca, Lech Sliwiński. Ks. Sławomir Sztachański i Apoloniusz Ciołkiewicz doznali mniejszych obrażeń, a dwie inne osoby — tylko ogólny potłuczeń.

NA DRUGĄ TURĘ (16 X) plenarnego posiedzenia KM PZPR w Łomży pod hasłem: „Jak uruchomić miejską organizację partyjną, jak ulżyć codziennym problemom życia mieszkańców Łomży”, podejmującą akcję „Kontaktów” — „Nie dajmy się biedzić”, członkowie KM oraz zaproszeni sekretarze KZ i POP przyszedł z tak dużą ilością wniosków, że w siódmej godzinie obrad, gdy głód i zimno zlamaly dyskutantów, ich porządek daleki był jeszcze od wyzerpania. Pod adresem obecnych: wojewody Jerzego Zientary, sekretarza KW Mieczysława Górskiego, prezydenta Jerzego Nowelskiego i licznych przedstawicieli innych instancji, padło wiele pytań i zarzutów dotyczących głównie przygotowania do zimy, dostaw gazu i funkcjonowania handlu. O charakterze toczącej się dyskusji świadczy apel I sekretarza KM, Mieczysława Czerniawskiego: „Proszę o propozycje konkretnych rozwiązań poszczególnych problemów! To, co tu powiedziano, przypomina mi spotkanie „Bez pardonu” w akcji „Kontaktów”. Niestety, odpowiedział mi jedynie Franciszek E. Poreda: „18 stopni Celsjusza, które przewiduje się jako najwyższą temperaturę w mieszkaniach, budzi obawę, jak przeżyją te zimę rodziny z małymi dziećmi. Spółdzielnia Mieszkaniowa będzie dysponować odpowiednią ilością drewna dla swoich członków. Zastanawiamy się już nad sposobem montowania piecyków. Jest ich jednak zdecydowanie za mało w sprzedaży. Trzeba też lepiej zaopatrzyć sklepy w lampy naftowe, naftę i świece. Jako prezes Łomżyńskiej Spółdzielni Mieszkaniowej zdaje sobie sprawę, że osiedle Jantar nie jest dobrze przygotowane do zimy: nie są jeszcze odebrane sieci — wodociągowa, kanalizacyjna i wód opadowych. Instalacja elektryczna w dużej mierze jest prowizoryczna. Odebraliśmy jedynie węzeł ciepłowniczy, i to nie cały, bo ma za wiele usterek”.

OD SIERPNIĄ działa Wojewódzki Sztab Antykrzysowy, któremu przewodniczy wicewojewoda Stanisław Ciupa. Celem jego jest łagodzenie skutków kryzysu. Sztab postanowił np. przyspieszyć prace komisji zajmujących się przeglądem ciągników, przyczep, narzędzi i maszyn rolniczych, znajdujących się w nierolniczych jednostkach gospodarki społecznej. Ponadto ograniczone zostały dostawy gazu w butlach 11-kilogramowych dla odbiorców posiadających trzony kuchenne — węglowe; butle turystyczne napelnić będą mogli tylko mieszkańcy województwa po okazaniu dowodu tożsamości. Ustalono też górne limity zakupu benzyny i oleju napędowego przez nabywców indywidualnych: taksówki osobowe — 30 litrów dziennie; taksówki bagażowe — 50 litrów tygodniowo; ciągniki rolnicze — 100 litrów na okres dwóch tygodni; samochody osobowe o pojemności silnika do 900 cm — 10 litrów jednorazowo, a powyżej 900 cm — 20 litrów jednorazowo.

NOWE ZASADY REGLEMENTACJI. Od 1 listopada obowiązywać będą jednolite dla całego kraju zasady reglamentacji używek. W Łomżyńskim utrzymanie zostają dotychczasowe uprawnienia: osoby powyżej 18 lat będą mogły kupić 12 paczek papierosów miesięcznie oraz pół litra wódki lub — wymiennie — 1 butelkę wina importowanego, 1 butelkę szampana. Bez kartki nabyć można już tylko wina produkcyjnego krajowej. Zmieniona zostaje także ilość artykułów zamiennych. Rezygnujący z palenia otrzymać mogą

450 gram słodyczy (norma miesięczna), abstynenci — 100 gram kawy lub 0,5 kg słodyczy.

SZKOLNICTWO WIEJSKIE znalazło się w trudnej sytuacji. Demontowanie dotychczasowej sieci szkół, obniżanie stopnia organizacji, braki kadrowe prowadzą do tego, że wiejska szkoła może się wkrótce znaleźć na poziomie lat czterdziestych. Coraz powszechniej środowiska naciskają, by restytuować szkoły — w samym województwie łomżyńskim rozpatrzono 100 takich wniosków, w kraju 500. Od dłuższego czasu działa międzyresortowa komisja do spraw oświaty, która na podstawie badań prowadzonych w pięciu wybranych województwach — koszańskim, nowosądeckim, siedleckim, suwalskim, rzeszowskim — przedłoży do końca grudnia program rozwoju szkolnictwa i wychowania na wsi. O tym, jak zapobiec deprecjacji szkoły wiejskiej dyskutowali dziennikarze, członkowie klubu oświatowo-wychowawczego. Sesję wyjazdową w Czarotwie zorganizowało SPD i redakcja „Kontaktów” — przy pomocy władz wojewódzkich.

ZASŁUŻONY NAUCZYCIEL PRL — to miano i odznaczenie nadane zostało przez Radę Państwa Kazimierzowi Żokowiczowi, dyrektorowi szkoły podstawowej w Dawnarach. Miło nam również donieść, iż dyrektorka przedszkola nr 9 w Łomży Zenobia Misiejuk otrzymała Nagrodę Ministra I stopnia. Gratulujemy!

DOBIEGAJĄ KONCA podstawowe prace polowe. Rolnicy zakończyli już siewy zbóż ozimych i zbior ziemniaków. Z 80 procent arealu zebrali też buraki. Do przechowania powędrowały warzywa i owoce. Niestety — do 20 października zebrano bowiem skupić i zgromadzić jako rezerwy zimowe zaledwie 50,5 procenta potrzebnych warzyw, 23 procent owoców i 63 procent ziemniaków.

„GAZETA WSPÓLCZESNA” od 1 listopada będzie miała nowego redaktora naczelnego. Został nim, moca uchwały plenum KW PZPR w Białymstoku, dotychczasowy długoletni zastępca szefa redakcji Mieczysław Chaja. Red. Jan Socha odchodzi, na własną prośbę, do pracy w stołecznej prasie. „Gazeta Współczesna” pod sześciolatnim kierownictwem red. Jana Sochy zyskała wielu nowych czytelników; prowadziła ogólnokrajowe konkursy pamiętnikarskie i ciekawe akcje publicystyczne: „Konflikt Współczesny”, „Oblicza Współczesności”, „Portret współczesnego Polaka”; jej publikacje częstokroć ofensywne i bezkompromisowe znajdowały szeroki oddźwięk w kraju, a poziom edytorski niejednokrotnie dorównywał najlepszym krajowym wzorcom. Zyczymy nowemu szefowi, by czas jego kierowania był równie widoczny i płodny na łamach dziennika trzech województw.

Z INICJATYWY grupy świeckich katolików powstał w Łomży w dniu 5 X br. Klub Inteligencji Katolickiej. Komitet Założycielski Klubu wystąpił do Wojewody Łomżyńskiego z wnioskiem o zarejestrowanie nowego stowarzyszenia.

PREZYDIUM WK SD w Łomży dokonało oceny aktualnej sytuacji społeczno-politycznej w województwie, zwracając szczególną uwagę na rosnącą przestępczość oraz potrzebę rzetelnej informacji o wydarzeniach zachodzących w kraju.

SPOŚRÓD ZAPROSZONYCH DO REDAKCJI laureatów konkursu „Pamiętnik nastolatka” przybyło sześć osób. Najdalszą drogę pokonał BOGUMIŁA CZYŻKOWSKA z Przysuchy (Radomskie) i IRENEUSZ WOJCICKI z Wrocławia (jego pamiętnik publikowaliśmy w 7/80 nr „Kontaktów”). Na spotkaniu z członkami jury, a także dyrektorem działu książkowego Młodzieżowej Agencji Wydawniczej, WACŁAWEM ŻURKIEM; komendantem łomżyńskiej Chorągwi ZHP, ZBIGNIEWEM ŻUKOWSKIM; przewodniczącym i jego zastępcą Zarządu Wojewódzkiego Związku Młodzieży Wiejskiej, JERZYM DOŁĘGOWSKIM i JANEM DOWNAREM oraz zastępcą przewodniczącego Zarządu Wojewódzkiego Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej, ROMANEM SZMYTEM, nasi młodzi goście wysłuchali refleksji doc. dr Bronisława Golebińskiego z Uniwersytetu Warszawskiego na temat planu konkursu. Obszerna relacja — w kolejnym numerze.

Redagowanie „Zdarzeń”: WŁADYSŁAW TOCKI

punkt widzenia

Decyzja o ogólnopolskim strajku ostrzegawczym, ostra reakcja rządu, zacięta walka propagandowa i coraz trudniejsze zwykłe codzienne życie. Oto czas, tu i teraz w Polsce: jak widzę go z perspektywy mieszkańca, w którym żyję? ANDRZEJ SIENKIEWICZ, kierowca, członek „Solidarność”: — Dzieje się bardzo źle; to już nie jest chodzenie po linie, lecz nagła utrata równowagi. Winę za to ponosi i rząd, i „Solidarność” — przecież rok temu mogliśmy się dogadać, dlaczego teraz nie? Jeżeli rząd ma mieć jakieś szanse, musi mieć czas. Dajmy mu rok — i wtedy rozliczymy.

Decyzja o strajku jest dla mnie całkowicie niezrozumiała. Jeżeli wcześniej podpisuje się porozumienia, nie stawia się w chwilę później sprawy na ostrzu noża. Duży błąd popełnia również rząd, puszczając ostrą nagonkę na związek. I to w dawnym, propagandowym stylu. Niepotrzebne są też działania, które można nazwać próbkami badawczymi: jak związek na to zareaguje, jak daleko można się już posunąć. Te doświadczenia są dziś bardzo kosztowne. Boję się, że to wszystko, co z takim trudem wywalczyliśmy, może być zmarnowane. KSIĄDZ MARIAN FILIPKOWSKI, Miastkowo: — Wierzę, że mimo tak powikłanej, trudnej sytuacji tam w „górze” w końcu się dogadają. Zgoda, pracowitość i uczciwość wobec siebie to przecież doskonała płaszczyzna porozumienia. Dziś zaś zgoda to warunek naszego bytu. Modłę się często o nią, gdyż wiem czym jest wojna, zamieszki — sięgnięcie po siłę. Trzeba się też wziąć do pracy — mówię o tym z ambony. PIOTR CHOLEWICKI, rolnik-rencista, Boguszyce: — Sięgnę po przyczynę, a jest nią — wydaje mi się — brak żywności. Rolnik nie sprzedaje jednak państwu swych produktów, gdy będą tacy, którzy zawsze są w stanie zapłacić nam więcej i jeszcze na tym zarobić. To trzeba ukrócić. Od kilku lat jestem agentem do spraw kontraktacji. Teraz nikt do mnie nie przychodzi, bo też i co ja mu w zamian dam. JADWIGA CZUPRYŃSKA, zastępca dyrektora szkoły podstawowej nr 7 w Łomży: — Przyznam, że przeraża mnie to wszystko. Co dalej? Myślę, że w końcu musimy zacząć się wzajemnie rozumieć. Stać nas na to: być przeciw Sierpień. (W.T.)

pytanie drażliwe

— Gdzie zaopatruje się wojewoda oraz towarzysze z KW i KM PZPR? — pyta jedna z organizacji partyjnych.

Odpowiadają: Mieczysław Górski, sekretarz KW: — Stołuję się w „Konsumach” i tam oddaję swój kartkowy przydział. — Jerzy Zientara, wojewoda: — Złośliwi twierdzą, że kupując tylko chleb i mleko udaję, robię to dla wybiegu. Oświadczam szczerze, że nie jest to udawanie: ja naprawdę lubię mleko i pieczywo. — Mieczysław Czerniawski, I sekretarz KM: — Przykro mi, że jedyne skierowane do mnie pytanie brzmi: gdzie się zaopatruję? W łomżyńskich sklepach, oczywiście.

myśl z atestem

Jeleń żyje w górskim lesie, ale los jego dopełnia się w kuchni. (Z sentencji Wschodu).

Święto Zmarłych

O uroczysty dniu! o świętej dniu
I ja cię święcić chcę w tęsknicy
Lecz nikt nie ujrzy mnie w tym
Co niesie zgiełk i gwar pomiędzy
ciche groby.

O, nie! nie pójdę tam, bo zgrozą
Przejmuje sama myśl, że dałbym
Serdeczną boleść swą, a patrzat,
Gromady bawią się w umarłych
mieście świętem. [...]

Więc się zamykam rad w
osamotnieniu głuchem,
Bo obcym pragnę być tej wrzawie
Oderwać od nich myśl i obwarować
I bratnim duchom swym cześć
oddać całym duchem.

I oto wszystek świat obiegam
Żałobny, żawy wzrok po ziemskim
Co mi się w chwili tej olbrzymią
Popioły ludów wszech mieszczącą
razem w sobie.

(Adam Pług)

Dzień Zaduszny

Święto umarłych, czyli dzień poświęcony ich pamięci, obchodzony dawniej przez ludy słowiańskie na wiosnę (czego pamiątką jest dotąd Rękawka u mogiły Krakusa w Krakowie i Nawski dzień na Polesiu), przeniesiony został przez Kościół katolicki na dzień 2 listopada w jesieni. Cześć i pamięć dla zmarłych była wybitną cechą dawnej wiary Słowian i ich domowego obyczaju. Kronikarz czeski Kosmas, piszący w wieku XI, mówi, że za jego czasów wieśniacy czescy oddawali jeszcze cześć starym bogom przy drzewach, w gajach i nad źródłami, czyniąc ofiary i przynosząc pokarmy, ażeby dusze zmarłych miały przez to wieczny odpo-

dla was

Zwyczaj oddawania cześć zmarłym przodkom, w którym — niezależnie od obowiązujących, często narzuconych, tradycji religijnych — zawsze pobrzmiewały pogłosy pierwotnych obrzędów pogańskich, znany jest ludzkości od „czasu początku”, czasu mitycznego istnienia świata.

W starożytnej Grecji w dniu poświęconym Hermesowi, bogowi podziemi, opiekunowi dusz po drugiej stronie Styksu — rzeki zapomnienia o doczesnym życiu — stawiano dla zmarłych w specjalnych garnkach gotowane potrawy. Dary te składane były nie tylko prywatnie, przez najbliższych zmarłego, ale także przez miasta i gminy — ze środków publicznych. I podobnie jak później na Białorusi, tak w Helladzie święto kończono wypraszającym zawołaniem: „Za drzwiami kery, już po Genesji”. Odbywało się to zaś z potrzeby oddania cześć zmarłym, uczczenia ich pamięci, przypomnienia ich życia.

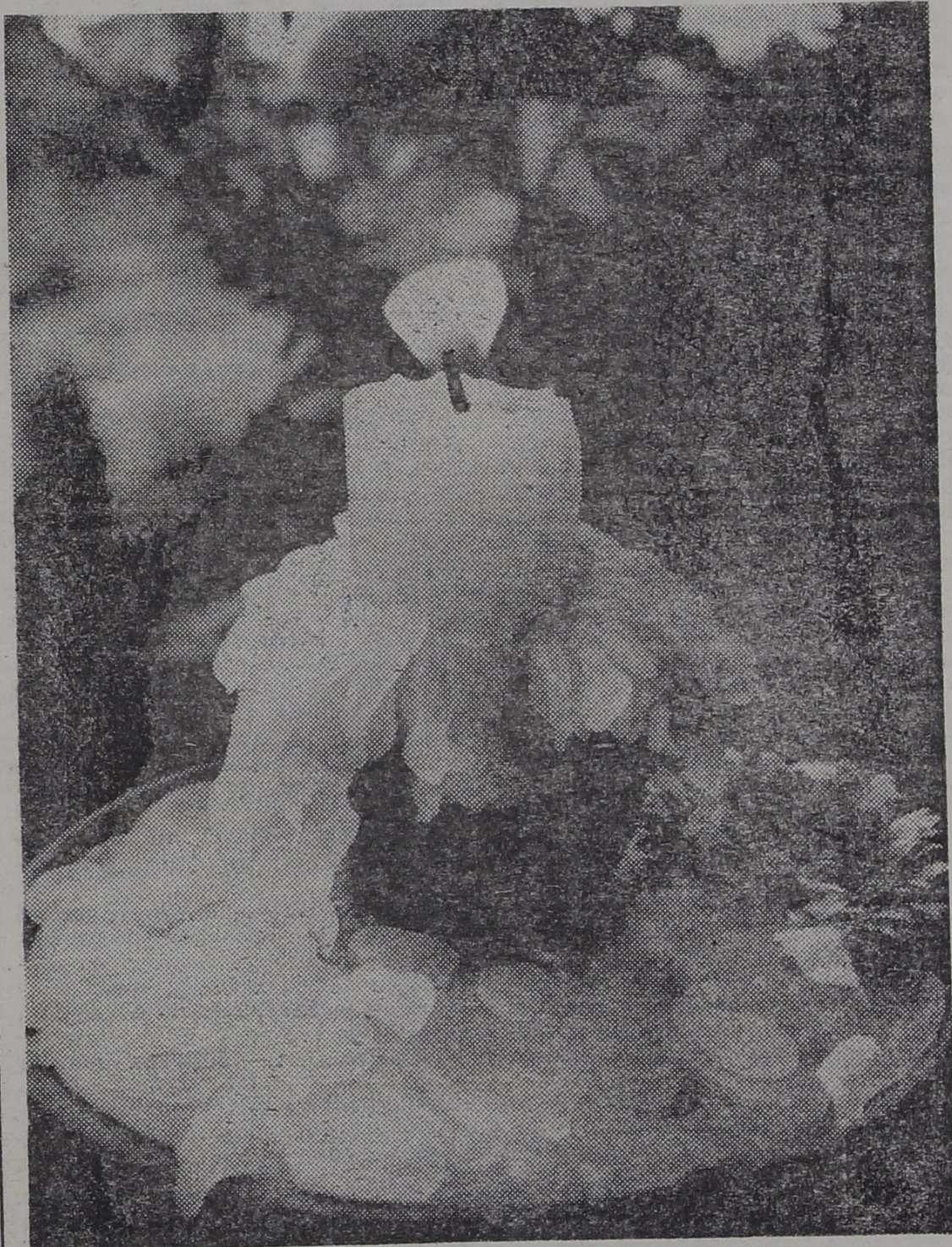
Nieco inne motywy, żeby nie powiedzieć — egoistyczne, kierowały mieszkańcami Półwyspu Apenińskiego. Tu przede wszystkim przez dowód pamięci i ofiarę starano się uchronić przed duchami złymi, ich złośliwością i knowaniami, o duchy dobre nie bardzo się troszcząc.

Podobne wierzenia — duchy dobre pomagają i opiekują się domostwami, wpływają na urodzaj i plodność, a złe mszczą się w przypadku zapomnienia — znane są do dzisiaj na Dalekim Wschodzie.

Na Jawie, w „czasie zmarłych”, przedstawiciel wsi wygłasza naj-

zyniek. Sute stypy na pogrzebach, i w latach następnych przez pozostałe rodziny na cześć zmarłych wyprawiane, były powszechnym zwyczajem Lechitów, Rusi i Litwy. Długosz w XV wieku potarżając echa starej tradycji Polan, opisuje stypę wyprawioną przez bajecznego ich księcia Popiela. Litwini obrzęd pogrzebowy zowią swoim językiem „chauturas”, stąd uczyły w dniu zaduszne i pogrzebowe zwano „chauturami”, a dziadów włączających się po stypach „chawturnikami”. [...]

Ksiądz Żera w swojej „Silva rerum” z połowy XVIII wieku powiada, iż lud podlaski na „stypy i obłady żałobne” zaprasza mnóstwo ubogich, zastawiając stoły suto i obdarzając dziadów hojnie, aby się za dusze umarłych modlili. W ogóle na Mazowszu i Podlasiu już w dniu Wszystkich Świętych poprzedzającym „Zaduszki” lud składa dużo podarków swemu plebanowi, które zostawia za ołtarzem, a mianowicie to, w co gospodarstwo jego domowe obfituje, jak koguty, prosięta, sery itd. Nazajutrz w dzień Zaduszny zbierają się pod kościołem i na cmentarzu grzebalnym całe rzesze żebraków, dla których każdy przynosi z sobą pierogi, chleby i inne podarki, i składa grosze dla biednych na talerz postawiony w środku kościoła na katafalku. W dzień Zaduszny, choć nie będący



pierw do nich przemówienie, następnie dorośli mężczyźni udają się z napełnionymi jedzeniem tackami z kory bambusowej na cmentarz i składają je na grobach. Po powrocie — w domach — odbywa się uczta żyjących.

W Chinach obrzęd ten miał charakter święta wyłącznie rodzinnego. Wynikało to, być może, z przeświadczenia, że duchy przodków nie oddalają się od swych dawnych, ziemskich siedzib. Z tego też względu w każdym domu znajdował się specjalny „stół przodków”, na który składano ryż, owoce, kawałki jedwabiu — czyli to wszystko, co potrzebne było zmarłym za życia.

Hindusi, którzy zmarłych otaczają kultem szczególnym, kończą swój z nimi kontakt słowami: „Wracajcie kochane pitoras na swe tajemnicze ścieżki”.

Zaskakujące jest podobieństwo dziadów białoruskich i obchodzonych w Bretanii. Podobny jest nie tylko kalendarz, lecz także przekonanie, że w czasie uroczystości zmarli są o-

rok polski

świętem kościelnym, wystrzegają się jednak wszelkiej pracy koło Inu i przedziwa, żeby jak mówią „duszyczkom nie zapruszały się oczy”.

Lud wiejski wierzy, iż wśród nocy poprzedzającej dzień Zaduszny powstaje w kościele wielka jasność i wszystkie duszyczki modlą się przed wielkim ołtarzem. Chwila ta ma być o samej północy, poczem każda duszyczka przybywa do swej rodziny w domowe progi. Pewna kobieta, która dużo płakała za zmarłą córką, pragnąc ją ujrzeć w dzień Zaduszny, pozostała na noc w kościele. Przed północą poczęły gromadzić się duszyczki i przybyła jej córka. A miała ona w ręku wielki dzban, który ukazała matce mówiąc, że są w nim zebrane wszystkie łzy, jakie wylała, płacząc po córce. Inna opowieść mówi, że pewien kmięć ukrywszy się w kościele, gdy uderzyła północ, widział, jak jasność wielka ogarniała całą świątynię wewnątrz. Organy same zagrały i uderzyły wszystkie dzwony, otworzyły się podwoje kościelne a przed niemi na cmentarzu stanął wielki orszak zmarłych ludzi w szatach bogatych i ubogich, poprzedzony przez księży, zakonników i biskupów, którzy ze światłem w rę-

ku, kropidłem i kadzidłem, w uroczystym pochodzie, każdy wprowadził swój naród do kościoła.

Do dnia Zaduszny stosowały się następujące przysłowia:

Dzień Zaduszny, bywa pluśny,
Niebo płacze, ludzie płaczą,
A ubogich chlebem raczą,
Rozdając jatmużnę,
Za duszyczki różne.

Wszyscy Święci, śnieg się kręci,
A w Zaduszki pada deszcz jak ze strużki.

o łakomstwie dziadowskim

Ksiądz Żera, spisujący wesole zdarzenia i przypowieści swoich czasów, opowiada, dając przykład, „jako naród dziadowski jest najchciwszy”, że jeden pobożny szlachcic starym obyczajem sprawił w dzień Zaduszny „obiad żałobny” dla ubogich. A choć obiad ten był obfity i trzydniowy, to jeszcze obdarzył dziadów i kaleki hojnie chlebem, mąką i okrasą, a w dodatku dał im krowę. Jeden z sąsiadów widząc to, rzecze: choćbyś waszmość miodem ich wysmarował, to jeszcze powiedzą, że mieli wszystkiego za mało. Jakoż spotkawszy dziadów wywożących ładowym wozem zaduszne leguminy i prowadzących ową krowę, pyta, czy mieli dość wszystkiego? — Mieśliśmy — odpowiadają dziadowie — chautury niegorsze, ino krowę wybrano nam jałową: „A tak miał rację ten szlachcic drugi, że nie-nasyconym i najchciwszym jest naród dziadów”.

Tenże ksiądz Żera zapisał w swojej „Torbie śmiechu” następną starą piosenkę biesiadniczą hula-ków:

Gdzie chautury, tam ja dziad,
Gdzie wesela, tam ja swat,
A gdzie chrzciny, tam ja kum,
A gdzie pią, tam ja czum,
Hej czum, czum, czum!
Hej czum, czum!
But o but, noga o nogę,
Podkówkami krzeszę podłogę.

(Z „Silva rerum” ks. Karola Żery, franciszkanina drohickiego w wieku XVIII).

ta biesiada drobna

Ich, czasy, i wszystko; tam jeno ptaki jakieś krzyczały złowrogo i smutnie szeleściła gęstwa, a gdzieś tam sterczał krzyż spróchniały — tam leżały pokotem rody całe, wsie całe, pokolenia całe — tam się już nikt nie modlił, nie płakał, lampek nie palił... wiatr jeno huczał w gałęziach, a rwał liście ostatnie... tam jeno głosy jakieś co nie były głosami, cienie co nie były cieniami, tłuki się o nagie drzewa kiej te ptaki oslepie i jakby skamlały o zmiłowanie...

Kuba wyjął z zanadru parę oszczędzonych skłbek chleba, rwał je w gionki, przyklekał i rozrzucał po mogiłach.

— Pożyw się duszo krześcijańska, co cię wypominam w wieczornym czasie, pożyw się pokutniczo człowiecza, pożyw się! — szeptał z przejęciem.

Dziś nasze zewnętrzne dowody pamięci o przodkach niczym nie przypominają bogactwa tradycji sprzed wieków. Cóż, zaginęły, w niepamięć poszły dawne obrzędy, obyczaje. A jednak dzień ten to — tak rzadki teraz — czas spojrzenia w siebie. Bez szarodziennego szamotaniny i nieustannego pośpiechu: życzliwiej wyciągamy pomocną dłoń, upychamy się w nabitych wagonach, w milczeniu przesuwamy stopę, by jeszcze ktoś, wraz z nami, dojechać mógł przepełnionym autobusem. A kiedy wreszcie błotnistymi ścieżkami do-trzemy na zagubione wiejskie cmentarzyki, gdy znajdziemy się na miejscu stracić i kaźni — zapalamy lampkę. Oświetlamy mogiły, by cześć oddać tym, co odeszli.

W.T.

Fot. GABOR LÖRINCZY

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

Mazowiecką, Śniadowo, a nie przez Ostrołękę, jak to zakładano. Wobec tego przestarzała miejska trasa zaczyna kształtować inaczej. Traci uzasadnienie dotychczasowy kierunek obwodnicy północnej, bowiem wynikała ona z potrzeby spięcia trasy Ostrołęka — Augustów. To rozwiązanie nie niosło wiele niedogodności, bo musieliśmy przekraczać dolinę Narwi w bardzo szerokim miejscu, podczas gdy przeprowadzenie jej, założymy, południowo-wschodnim skrajem miasta pozwala na wykorzystanie grobli — jeżeli szukalibyśmy tego przejścia w rejonie starej, nieczynnej przeprawy mostowej.

Ścisłe z tematem drogowym łączy się sprawa kolei. Bardzo często spotykamy się z zarzutem, że prowadzenie kolei przez środek miasta koliduje ze wszystkimi innymi jego funkcjami; że takie rozwiązanie nie powinno mieć miejsca. My się z tym zgadzamy! Ale resort komunikacji stawia sprawę tak: albo kolej będzie szła przez miasto, albo w ogóle jej nie będzie jeżeli chcecie szukać jakiejś obwodnicy poza terenami miejskimi. Zarezerwowaliśmy pas, bo na razie o budowie, o konkretnych zamierzeniach nie ma mowy. Na ten temat spójrzmy od nowa, jako że wyklarował się na szczeblu krajowym sposób kształtowania sieci kolejowej w związku z suwalską rudą, zagłębiem lubelskim. Dworzec w środku miasta to temat bardzo ponętny i chwytny.

WOJEWODA: — Łomży nie możemy zostawić ze ślepym torem. Jeśli będą warunki inwestycyjne, musimy uzyskać kolej przelotową, bo to jest warunek prawidłowej obsługi miasta, tempa jego rozwoju. Jak jest z naszą komunikacją — przypomnijmy sobie zimę stulecia!!!

ARCHITEKT: — Przy wszystkich dzisiejszych kłopotach z transportem kołowym kolej jest jedyną szansą dobrej komunikacji wewnątrz województwa. Ale nie ma konkretnych przesłanek, by sprawę przesądzać.

Takim samym kontrowersyjnym tematem jest zmiana granic miasta. Władze miejskie proponują korektę o dwie wsie: Konarzyce i Piątnice. Niejako a priori można się pogodzić z propozycją włączenia Piątnicy, jako że Łomża bez niej to jak Warszawa bez Pragi. I tak te dwie jednostki traktujemy łącznie, planując, na przykład, usługi, ich wielkość. Natomiast Piątnica jako zaplecze terenów budowlanych? Nie wiem czy to słuszne i możliwe. Wszak mieszkańcy są rolnikami i nie można ich pozbawić terenów nawet trzeciej klasy, bo praktycznie tylko te zostały nie zabudowane. Konarzyce jako rezerwa terenów budowlanych dla miasta, to sprawa mało ciekawa: to dwukilometrowa ulicówka, zabudowana bardzo szczelnie, zamknięta od strony północno-wschodniej bagnetem.

PREZYDENT: — Myśmy tak okrolić się w tej Łomży, że urbaniści nie chcą się w niej mieścić. Nie możemy na przykład — chcę tu być dobrze zrozumiani — zebrać się w 1500 osób, by uczcić jakiegoś ważnego, łomżyńskiego wydarzenia. Przy wszystkich okazjach ganiamy po naszych grobach, pomnikach, ulicy...

Mówiąc o Konarzycach: tam właśnie może istnieć bezkolizyjna możliwość rozwiązania problemu dworca, z obejściem miasta. Moglibyśmy pomyśleć o terenie zachodnim, między torami a drogą, i dalej przez Kraske. To kompleks do rozpracowania. Poszerzanie granicy miasta ciągle nam się przejawia w różnych dyskusjach, a w zasadzie nie znamy stanowiska wojewody w tej sprawie.

SEKRETARZ KM: — Wejść w słowo. Piątnica i Konarzyce to wywołanie tematu. Był on wśród województw kiedyś bardzo modny. Znamy miasta, które, poszerzając swe granice, stały się miastami stutysięcznymi. Łomża tego nie zrobiła.

WICEWOJEWODA: — Nie bałbym się tego, że ktoś będzie nas traktował jako mocarstwówce. Spójrz na ten problem jako po trosze urbanista: i tak, kochani, dla tych miejscowości miejscem wykonywania doczesnych funkcji jest Łomża. I handel, i służba zdrowia, i komunikacja, nie mówiąc już o funkcjach wojewódzkich jakie ma Piątnica: straż pożarna, spółdzielnia mleczarska. Niezależnie od sklepów geesu, bo to w tej chwili najczulszy temat, Piątnica ma wyraźnie dośrodkową tendencję, jeśli chodzi o Łomżę. Wiemy natomiast, że taki projekt spotka się z negatywną opinią samych rolników. Bo jeśli wejdą w miasto, to inaczej do nich podchodzi cały aparat podatkowy. Ten właśnie element nie spo-

wodował naszego mocnego podejścia do Piątnicy w 1976 r.

WOJEWODA: — Myśmy od początku widzieli potrzebę wcześniejszych takich decyzji, ale wyjaśniono nam na szczeblu centralnym: musimy udowodnić, właśnie planem przestrzennym, że jest to ośrodek integralnie związany z miastem. I takie założenie było. Moim zdaniem trzeba je utrzymać i rozpatrywać w dwóch aspektach: bardziej racjonalnych, komunalnych usług oraz możliwości bezpośredniego oddziaływania prezydenta na kształtowanie profilu produkcji rolnej, pod kątem bezpośredniej obsługi mieszkańców Łomży: ogrodnictwo, sadownictwo. Sprawa Konarzyc, moim zdaniem, jest dyskusyjna. Niemniej nie zdejmujemy jej z wokandy.

ARCHITEKT: — Istotnym problemem, który przypadkiem opuściłem, jest przenoszenie czynnych gospodarstw rolniczych z terenu miasta, gdzie kolidują one z nowymi jego funkcjami, na inne miejsca. Plan ogólny wyznacza jeden taki teren w rejonie ulicy Piaski — dla budownictwa zagrodowego. Nie jest on w pełni zainwestowany. Ale prze-

zapis męskiej rozmowy

noszenie gospodarstw to sprawa bardzo trudna przy obecnych cenach ziemi. Poza tym sam fakt, że człowiek z mieszkańca Łomży staje się mieszkańcem wsi, też ma swoje znaczenie. Dlatego koniecznie trzeba przeanalizować, wrócić do poprzedniej sprawy, korektę granic miasta pod tym właśnie kątem. Jest doskonały teren poza rogatkami miasta, w kierunku na Nowogród.

WOJEWODA: — Ile tego jest? ARCHITEKT: — Trudno mi w tej chwili powiedzieć, ale więcej niż setka. A więc dla wszystkich gospodarstw, jakie w Łomży istnieją i jeszcze zostanie. Są to parcele półhektarowe, prostokątne, ładnie pocięte. Pozostaje tylko kwestia znalezienia jakiejś właściwej formy przejęcia, bo są to grunty prywatne.

WOJEWODA: — Do tego tematu trzeba podejść z ogromnym zrozumieniem. My nie możemy stworzyć sytuacji przymusowej, bo to ogromny koszt i określone perypetie w funkcjonowaniu gospodarstw. Ale zależy nam na stopniowym rozwiązywaniu tego problemu. W miarę śmierci technicznej gospodarstw, w miarę powstawania warunków trzeba uwzględnić ten kierunek.

PREZYDENT: — Panie wojewodo, my zdajemy sobie sprawę, że z ulicy Poznańskiej na przykład rolników nie wyprowadzimy, bo do śmierci technicznej tym gospodarstwom daleko. Ale rozwalone płoty, chlewy, strasznie miasto szpecą.

WOJEWODA: — Nie wylewajmy dziecka z kąpielą. Jeśli, przykładowo, jest to waląca się ruderą przy fabryce mebli to trzeba znaleźć istotny,

przekonywający argument, by zmusić właściciela do jej usunięcia. Nie trzeba patrzeć przez pryzmat walącego się płotu na wszystkie gospodarstwa.

PREZYDENT: — Nam chodzi o to, żeby gospodarz na potrzeby miejskie stworzył, bo na to już go stać, ładną elwację ulicy.

WOJEWODA: — A zgoda! Co do tego nie ma żadnych wątpliwości.

ARCHITEKT: — Tak jest dokładnie zapis planu. Pozostaje tylko kwestia wyegzekwowania tego.

WOJEWODA: — Kolejny temat to sprawa zaopatrzenia mieszkańców w wodę.

PRZEWODNICZĄCY WOJEWÓDZKIEJ KOMISJI PLANOWANIA: — Problem wody nie wynika z jakichś graniczeń inwestycyjnych. Na terenie Łomży prowadzimy od kilku lat badania, jednak z negatywnym skutkiem. Teraz, na skutek nacisków, przedsiębiorstwo badawczo-geologiczne podjęło dalsze prace. Jeśli tempo prac będzie takie, jak w tej chwili, to do końca marca przedstawimy pełną dokumentację geologiczną. Wszystkie dotychczasowe wyniki były niekorzystne. Przesunięcie się w nowy rejon badań zaczyna wskazywać korzystniejszą sytuację.

WICEWOJEWODA: — Często zadają nam pytanie: jak to jest, Narew pod bokiem, a mieszkańcy mają problemy z wodą. Trzeba to wyraźnie powiedzieć: Narew jest tak zanieczyszczona, że nie ma mowy o korzystaniu z wód powierzchniowych. Tak więc przyszłość musi być bezwzględnie związana z wodami głębinowymi. Narobiliśmy wokół Podgórza, Pniewa po dziesięć otworów, ale te zasoby są mizerne. Dlatego będziemy musieli pójść na wykorzystanie tych mniejszych zasobów i kójarzenie tych studni głębinowych w jedno ujęcie — to w perspektywie. Co na dziś — nie chcę się wypowiadać, bo prezydent te sprawy zna. Rozumiem, że sprawa wody została podniesiona w aspekcie perspektywy. Sam zdaję sobie sprawę, że w ciągu pół roku cudów się tutaj nie zrobi. Natomiast nie może nam się wymykać docelowe rozwiązanie tego problemu.

WOJEWODA: — Ja tutaj mam niewiele do powiedzenia, sytuacja bieżąca jest znana. Natomiast słuszny jest niepokój, co dalej.

PREZYDENT: — Bilans wodny z roku na rok się pogarsza. Górne kondygnacje ulicy Buczka, począwszy już od drugiej, mają kłopoty z wodą. Jeżeli nie poprawimy tej sytuacji, to problem będzie narastał.

WOJEWODA: — Co zrobicie?

PREZYDENT: — Trzeba wyraźnie przyjąć koncepcję, że rozgraniczamy wodę pitną od przemysłowej. I niech zakłady pracy podłączają się do ujęcia wody, z którego korzysta kochanina.

WICEWOJEWODA: — Może to być technicznie i technologicznie niemożliwe.

PREZYDENT: — Ale ja jestem wręcz zmuszony do totalnego przeszkadzania przedsiębiorstwom w rozrzućnym gospodarowaniu wodą. Płacą wysokie kary, odwołują się, a wodę biorą...

WOJEWODA: — Jeśli w ramach

uprawnien interwencyjnych, to nie są uchybienia! Mówicie: dyrektor nie realizuje moich uprawnień interwencyjnych w takim i takim zakresie. Będziemy stawiali wnioski, łącznie z wnioskami o zmianę dyrektora, pod warunkiem, że żądanie mieści się w granicach realności jego działania. Przechodzimy do drugiego tematu: sprawa budowy rozprężalni gazu przewodowego.

WICEWOJEWODA: — Nie nasza sprawa!

SEKRETARZ: — Żartuje wojewoda.

WICEWOJEWODA: — Sprawa resortu górnictwa i energetyki. Można robić wiecek tego tematu, ale nie po to ześmy się zebrał. W naszym programie zapisaliśmy: koniec realizacji rozprężalni — 1984 rok. Nie jest to, kochani, sprawa mechaniczna. Muszą być podjęte działania na odcinku wszystkich odpowiednich instalacji zewnętrznych i wewnętrznych budynków. Instalacja wewnętrzna do gazu przewodowego powinna być natychmiast pod gazem, inaczej koroduje. Myślę, że uda nam się tę wycisnąć w terminie. Ale wychodzi bardziej prozaiczna rzecz. Gaz na butle w województwie jest limitowany. Na obecny kwartał możemy mieć 12 procent mniej. Do sztabu antykrzysowego napływają wnioski, aby wprowadzić wobec tego limitowanie gazu, szczególnie dla tych obiektów, które mają trzony kuchenne. Muszę tu podkreślić, że bronimy się przed jakąkolwiek reglamentacją.

SEKRETARZ: — Na ostatniej egzekutywie Komitetu Miejskiego analizowaliśmy funkcjonowanie Korgazu, bo w ostatnich dwóch-trzech miesiącach pogorszyła się dystrybucja. Mieliśmy zmniejszone dostawy gazu, a na jego dostarczenie czekali mieszkańcy do dwóch tygodni. Uważamy, że tylko pewne nieudolności organizacyjne spowodowały wydłużenie tego terminu. Chodziło o jednego żuka. Dyrektor Korgazu też nas powiadomił, że trzeba liczyć się z możliwością reglamentacji gazu. Egzekutywa zdecydowanie wyraża sprzeciw. Chcę zwrócić uwagę tylko na jedno: wiele budynków figuruje w rejestrze z trzonami kuchennymi, a mieszkańcy z nich nie korzystają. Poza tym, kto zagwarantuje im zaopatrzenie w węgiel?

WOJEWODA: — Staniemy przed dylematem: komu dać, komu nie. Jasne, że ten wydzwitek sprawiedliwości społecznej musi być.

PREZYDENT: — Nikt nas nie pytał, a całe środowisko polikwidowało trzony kuchenne. Kiedy naciskamy, ludzie mówią: ja kuchnię wybuduję, a węgiel to mi pan da?

WOJEWODA: — Nie jest to takie proste — brakuje przecież kafil...

PREZYDENT: — Nie umiałbym wyegzekwować poprzedniego stanu. Inna rzecz: są przecież instytucje, które mają butle w nadmiarze.

WOJEWODA: — Jak wyjść do pracowników: nie damy wam ciepłej herbaty, bo z oszczędności zabieramy butle.

PREZYDENT: — Wcale nie muszą być jak w POM-ie — zaraz cztery.

WOJEWODA: — Jesteście gospodarzami miasta, macie pełną swobodę działania. Ale wyważcie, aby te decyzje nie spowodowały uzasadnionych interwencji społecznych.

PREZYDENT: — Czy to nasze działanie nie wpłynie na zmniejszenie gazu dla miasta, bo odzyskamy znikome ilości butli.

WOJEWODA: — Jeśli na przykład zmniejszy się o trzydzieści procent, to i miasto będzie w tym partycypować. Z góry zastrzegam, żebyście potem się nie wykreśli.

SEKRETARZ: — Jakże znaleźć rozwiązanie, żeby w najmniejszym stopniu dotknęło to mieszkańców?

WOJEWODA: — Dajmy wam pełną swobodę działania, jeżeli chodzi o znalezienie źródeł.

SEKRETARZ: — Jest jeszcze prośba do towarzysza wojewody o ewentualne wsparcie. Jak wiemy, prezydent przejął przedsiębiorstwo gospodarki komunalnej i mieszkaniowej z ogromnym deficytem. Były takie przyrzeczenia, że trzy gminy nas wesprą — Piątnica, Nowogród i gmina-miasto — po pół miliona każda. I do tej pory cisza! Najbardziej kompetentny byłby Stalewski.

Wojewoda wstaje i podchodzi do telefonu:

— Towarzyszu Stalewski, macie trzy dni na decyzję negatywną, pięć — na pozytywną.

Spisała ALICJA ZAGÓRSKA
Fot. GABOR LÖRINCZY





skrzydła wziąć sokołe

„Harcerstwo to ruch: ideowy ruch młodzieży, wyrosły gdzieś w przeszłości z protestu przeciwko mieszczańskiemu, bezideowemu, cherlawemu fizycznie przełomowi XIX i XX wieku; ruch młodych, których pasją było wychowywać młodszych od siebie przez przykład, przez pracę nad sobą [...]. Więc ruch, płomień, żywioł, a nie organizacja stworzona po to, by inicjować działanie lub — co gorsza — wykazywać się działaniem”.

Gdyby tę wypowiedź pozbawić pierwszego słowa, któż z młodych ludzi, noszących dziś mundur harcerski, skojarzyłby jej treść z charakterystyką ruchu, do którego, chociażby formalnie, przynależy. A słowa te padły z ust byłego naczelnika Szarych Szeregów, Stanisława Broniewskiego, w 70-lecie ZHP.

Tegoroczne świętowanie 70 rocznicy ruchu tym mocniej każe ponowić pytanie: któż pamięta obrazy minionych zdarzeń i zasługi nieżyjących już osób?

Oto jedna z nich: ksiądz Kazimierz Lutosławski, urodzony w roku 1880 w Drodzowie koło Łomży. Nauki pobierał w Niemczech i Szwajcarii — zdobył tam doktoraty z medycyny i teologii. Mało kto wie, że po powrocie był jednym z założycieli harcerstwa w zaborze rosyjskim, a przy tym — czołowym działaczem skautingu. W 1909 r. docierała na ziemię polskie idee twórcy skautingu, angielskiego generała, sir Roberta Baden-Powella, a już w roku 1912 rodzime harcerstwo jest na tyle zorganizowane, że ma własną odznakę: krzyż harcerski według projektu... Kazimierza Lutosławskiego. W pierwotnej postaci dotrwała do dziś jako symbol przynależności do ruchu. Autor wzorował ją na orderze „Virtuti Militari” i nadał swojemu projektowi określoną symbolikę: wieniec laurowy i dębowy są znakiem męstwa i zwycięstwa; wewnętrzne koło znamionuje doskonałość; promienie biegnące od lilijki mówią, że harcerstwo stara się objąć swym działaniem jak najszersze kręgi młodzieży.

Inna z tych postaci — szesnastoletni wówczas Teodor Kleindienst — to założyciel harcerstwa w Łomży. „Był chłopcem poważnym i bardzo ideowym — wspomina żona, a wtedy rówieśnica z lat szkolnych. — Miał duże zdolności organizacyjne i cieszył się autorytetem wśród kolegów szkolnych. Nadto był bardzo uzdolniony artystycznie”.

To on przywiózł z Warszawy, ku której ciążyła prowincjonalna, ale przecież gubernialna, Łomża, wiadomość o tworzących się w zaborze rosyjskim drużynach skautowych i harcerskich. Już w roku 1913 trwały pod jego kierunkiem tajne przygotowania uczniów gimnazjum do powołania drużyny harcerskiej, co nastąpiło jesienią tegoż roku. W skład czterozastępowej I drużyny męskiej im. Tadeusza Kościuszki weszli głównie uczniowie rosyjskiego gimnazjum państwowego; drużynowym został Teodor.

Kardynał Stefan Wyszyński — w latach 1915—1918 uczeń łomżyńskiego

go gimnazjum — był harcerzem w zastępie „Czajek” I drużyny.

Wspomina Maryla Kleindienst (ze Żbikowskich): „Na wiosnę 1914 roku powstała też w Łomży pierwsza drużyna harcerstwa dziewcząt [...] założona na terenie prywatnej pensji pani Korzeniowskiej, przy ulicy Wiejskiej, a drużynową byłam ja. Panowała na tej pensji atmosfera polska [...] na naszą zaś działalność przysmiano oczy, nie mogąc jej jawnie popierać. [...] Byliśmy bardzo bojowe, patriotyczne, postępowe. Wierzyliśmy w możliwość wcielenia w czyn naszych ideałów. [...] Pamiętam, że w wakacje roku 1914 kilkanaście dziewcząt z drużyny harcerskiej przyjęło pracę sezonową w uprzemysłowionym majątku ziemskim Kisielnica pod Łomżą, gdzie pracowaliśmy przy owocach dla fabryki cukierków, istniejącej na miejscu. Przypominam sobie, że wtedy strajkowaliśmy przez dwa dni, uzyskując pełny sukces, żądania nasze zostały spełnione. Chciałyśmy wtedy nie wyższej zapłaty, lecz aby pozwolono nam dokładnie myć owoce”.

Zarobionymi pieniędzmi opłacano m.in. komorne za wynajmowany lokal przy ulicy Polowej 8, gdzie obie drużyny urządziły własną koedukacyjną świetlicę. Była ona nie tylko miejscem pracy, ale i towarzyskich spotkań. Jaką miały one wartość i na co narażali się uczestnicy owych

spotkań, żyjących przecież w konkretnych realiach politycznych, świadczy m.in. zachowany do dziś program wieczoru skautowego z 17 marca 1917 roku. Jest w nim: odśpiewanie przez chór łomżyńskich skautek „Roty” i „Z dymem pożarów” Konopnickiej oraz „Boże, coś Polskę”, recytacje „Pobudki” Gomułickiego, „Pielgrzymów” Romanowskiego, „Sonetu” Asnyka i tegoż — „Precz ze zwątpieniem”, a nadto referat o skautingu. Przejawem tej nielegalnej jednak działalności było również pismo łomżyńskich harcerzy, tygodnik „Czuwaj”, gdzie w numerze 3 z 8 listopada 1916 roku znaleźć można tekst „Jak powinniśmy miłować Ojczyznę”, którego anonimowość przywołuje nas do konspiracyjnych realiów dni, w których płaciło się wysoką cenę za słowa: „Ta miłość Ojczyzny, to dążenie do oswobodzenia Polski, jest pierwszym naszym obowiązkiem”.

Byłoby jednak błędem utożsamianie ich woli walki wyłącznie z celami natury politycznej. Rodziły się one raczej jako przejawy siły ducha. „Młot” (Stanisław Dembowski) w roku 1919 pisał — już w wolnej Polsce — na łamach łomżyńskiego „Czuwaj”:

„Mam szczerą wolę tść na czyn
i skrzydła wziąć sokołe,
i już nie wracać do swych win —
mam szczerą, silną wolę

orać swój zagon jako plug,
tak mi dopomóż Bóg!
Polsce oddaję moc i hart
i duszę swą na wieki,
bym był jej synem zwać się wart
i godzin jej opieki.
Sptać jej będę życia dług,
tak mi dopomóż Bóg
Przyrzekam — dokąd starczy sił,
dopóki praca będzie,
dla braci swoich będę żył,
z pomocą gotów wszędzie,
i będę strzegł harcerskich dróg —
tak mi dopomóż Bóg!”

Każda zbiorowość, pozbawiona znajomości swej historii, jest na prostej drodze do degeneracji. Tę właśnie przeszłość zagubiono w programach ZHP przez minione dziesięciolecie. Wejście na ów obszar, zamknięty dla umysłów setek młodych ludzi, zaproponował mi nowo mianowany komendant hufca ZHP w Łomży, Józef Babel, który od pierwszych dni swej pracy za jedną z głównych spraw uznał konieczność przywrócenia współczesnemu pokoleniu łomżyńskich harcerzy świadomości źródeł, z których się wywodzą, a tym samym — uświadomienia ich na pierwotne ideały ruchu doby Baden-Powella.

Prześledzenie łomżyńskiej przeszłości ruchu nie było łatwe. Wiele ze świadectw zginęło bezpowrotnie, chociażby w czasie ostatniej wojny. To, co ocalało, nie było chyba w minionym 35-leciu przedmiotem szczególnej troski władz harcerskich Ziemi Łomżyńskiej. Lecz przechowane źródła są frapujące i zasługują na ocalenie. Ale też — na wzbogacenie. Dlatego Komenda łomżyńskiego Hufca ZHP oraz redakcja „Kontaktów” zwracają się do wszystkich ludzi dobrej woli o nadsyłanie materiałów i dokumentów — oryginalnych lub ich kopii — zdjęć i pamiętek; liczymy na udostępnienie nam przez Czytelników ich prywatnych kolekcji do zreprodukowania lub chociażby — zewidencjonowania; czekamy na pamiętniki i wspomnienia. Ich wybór będzie publikowany na łamach „Kontaktów”. Prosimy o weryfikację tych publikacji oraz dodatkowe informacje na temat zamieszczanych fotografii i dokumentów.

Całość zbiorów będzie eksponowana na okresowych wystawach, organizowanych w Łomży i innych miejscowościach województwa. Jeżeli płon naszych starań będzie bogatszy, rozpoczniemy przygotowywanie monografii harcerstwa Ziemi Łomżyńskiej i utworzymy w jej stolicy izbę muzealną, poświęconą temu ruchowi.

Zróbmy wszystko, by jak najszybciej łomżyńscy następcy Kleindienstów mogli powiedzieć z pełnym zrozumieniem i przekonaniem to, co przypomniał w 70-lecie istnienia związku naczelnik Stanisław Broniewski: „Są dwie istotne treści tego ruchu: służba najwyższemu ideałom [...] wyznaczona trudem pracy nad sobą, przetapianiem siebie, oraz braterstwo, czyli służba innym, a nie sobie”.

JULIUSZ ŚWIREDO
Fot. GABOR LÖRINCZY

I zastęp „Czajek”

	Klasa
1. <i>Dąbrowski Władysław</i>	VI
2. <i>Wienborski Julian</i>	V
3. <i>Nowosadka Gabriel</i>	IV
4. <i>Żbikowski Jan</i>	V
5. <i>Rudziński Józef</i>	III
6. <i>Kleindienst Edward</i>	III
7. <i>Wyszyński Stefan</i>	II
8. <i>...</i>	II
9. <i>...</i>	I
10. <i>...</i>	I
11. <i>...</i>	I
12. <i>...</i>	I
13. <i>...</i>	I
14. <i>...</i>	I
15. <i>...</i>	I
16. <i>...</i>	I
17. <i>...</i>	I
18. <i>...</i>	I
19. <i>...</i>	I
20. <i>...</i>	I

postawy



kontakty kontaktów

Jak podano w informacji pod tytułem „Łomżyńscy na IX Zjeździe Partii”, zawartej w 29 numerze „Kontaktów” z dnia 26 VII 1981 r. delegacja łomżyńska na IX Nadzwyczajny Zjazd Partii aktywnie uczestniczyła w opracowywaniu ostatecznych wersji Statutu i Uchwały Programowej Partii.

Z pełnym zadowoleniem i satysfakcją przyjąłem przyjęcie przez Zjazd statutu, w którym między innymi jednoznacznie określono stosunek partii do osób wierzących i prawo organizacji młodzieżowych do rekomendowania swych członków zgłaszających chęć wstąpienia do partii.

W okresie przedzjazdowym i w czasie trwania obrad Zjazdu, członkowie partii prosili o określenie się partii w stosunku do wierzących. W związku z tym IX Zjazd przyjął w Statucie zapis następujący: „PZPR kierując się teorią marksizmu-leninizmu, wciela w życie jej zasady zgodnie z wymogami konkretnych warunków politycznych, społecznych, gospodarczych i kulturalnych Polski”. PZPR jest partią marksistowską. Stąd też zapis dokonany w statucie wyrażony jest terminologią słownictwa marksistowskiego. Zapis ten zakłada problem ludzi wierzących i raz jeszcze daje dowód wiarygodności działań partii w zakresie konsolidacji wewnętrznej jej członków. Każdy z członków partii, wierzący, czy niewierzący, z takim zapisem sam się utożsamia. Na uwagę w tym temacie zasługuje fakt przyjęcia w programie partii zapisu następującej treści: „Partia, która przyjmuje w swe szeregach także wierzących ludzi pracy, która umożliwia im działalność polityczną w myśl zasad swego programu, opowiada się jako całość za światopoglądem naukowym oraz prowadzi w tym duchu działalność edukacyjną i wychowawczą”. Do statutu przyjęto większością głosów, przy 47 głosach przeciw, 19 głosach wstrzymujących, zapis utrzymujący prawo organizacji młodzieżowych do rekomendowania swych członków zgłaszających chęć wstąpienia do partii następującej treści: „Egzekutywa KG, KMG, KM, KD może w indywidualnym trybie przyznać kołom ZSMP i ZMW, radom wydzielonym SZSP oraz krogom instruktorom ZHP prawo wydawania swym członkom opinii polecającej do partii. Opinia polecająca koła, które uzyskało takie uprawnienia, przysięga na jego zebraniu jest traktowana na równi z opinią jednego członka partii”.

HENRYK SWIDERSKI
Delegat na IX Nadzwyczajny Zjazd PZPR przy PBR w Grajewie

Od red.: na życzenie autora list publikujemy bez zmian.

Redaktorze, od kilku miesięcy razi mnie ucho i oko słowa: „władza” i „biurokracja”, dlatego zdecydowałem się na napisanie kilku słów wyjaśnienia, które może choć trochę zmienią sytuację w tej materii.

Oba nadużywane są w różnych kontekstach, ale przeważnie w oderwaniu od ich właściwego znaczenia. Dlaczego nikogo nie razi w oficjalnych i potocznych enuncjacjach słowo „władza” w odniesieniu do ministra, wojewody, naczelnika, dyrektora, ba... referentki w urzędzie gminnym, nie mówiąc już o panu milicjancie? Przecież to administracja, organ wykonawczy władzy. A władza? Zgodnie z konstytucją to: Sejm, WRN-y i GRN-y. Pan naczelnik nie był nigdy i nie jest wprawdzie władzą gminy. Na terenie gminy jedyną władzą jest GRN.

„Biurokrację” potocznie utożsamia się z księgowym wymagającym daty i podpisu na rozliczeniu, z biurem pełnym akt, z przepisującą przez pięć kalek sprawozdanie panią Krysią. Gdy tymczasem „biurokracja” znaczy po prostu: władza urzędników (a więc właśnie pana ministra, pana wojewody, pana naczelnika, pana referenta).

Myślę, że tak trzałe funkcjonujące pomieszczenie pojęć nie jest przypadkowe.

Z poważaniem

J. WOLSKI
Łomża

Publikujemy fragmenty dyskusji „O stanie marksizmu”, w której uczestniczyli: Wojciech Gielżyński, Andrzej Kolakowski, Klemens Krzyżagórski, Jerzy Łoziński, Jacek Migasiński, Stanisław Rainko. W ten sposób chcemy także zapoznać Czytelników z pierwszym numerem „Meritum”, w którym „Krytyka określa formułę postawy, a nie sposób wypowiedzi, specjalny zakres działania”. Tym razem nam poleć ten miesięcznik krytyczny, że wśród zespołu redakcyjnego znajdują się także wybitni publicyści stale współpracujący z naszą redakcją: Klemens Krzyżagórski i Włodzimierz Pawluczek.

KRZYŻAGÓRSKI: Sierpień 1980 był ostrą fazą kryzysu, który w ujęciu społecznym trwał co najmniej od połowy lat siedemdziesiątych, a niektórzy twierdzą, że rozpoczął się on już u schyłku lat czterdziestych. Jeśli tak, to mamy tu do czynienia z procesem, który dobrze znany jest naukom przyrodniczym: patologia w stanie „chronica” co pewien czas ulega kulminacji — osiąga stan „acuta”. Porównawczo: niedrożność naczyń wieńcowych serca jest „chorobą zawałową”, która co pewien czas manifestuje się „zawałem” — śmiercią części serca za życia całego ustroju. Sierpień 1980 był „zawałem”. Czy polscy marksiści rozpoznali jego etiologię?

ŁOZIŃSKI: Nie rozpoznali, gdyby mieć na myśli teoretyczne jego opracowanie, to znaczy gdyby uważać, że to rozpoznanie dokonało się w postaci jakichś tekstów, które zapowiadałyby sierpniowe spiętrzenie. A nie zrobili tego, gdyż — w moim odczuciu — coś takiego, jak marksistowska teoria współczesnego społeczeństwa, teoria życia społecznego, w ogóle nie istniała w latach siedemdziesiątych.

KOLAKOWSKI: Sytuacja była taka: marksizm szedł u nas do roli jak niektórzy sądzą — fałszywej świadomości, ideologii w marksistowskim sensie, co zresztą wydaje mi się zbyt dużym komplementem dla tego typu „marksizmu”, jaki był uprawiany w minionym dziesięcioleciu. Bo faktycznie nie była to nawet fałszywa świadomość. To było coś w rodzaju ozdóbki, dekoracji, którą z wielkim zapalem nielegnowała spora grupa ludzi w kraju, ale która to forma uprawiania marksizmu nijak się do rzeczywistości nie miała. Z drugiej strony mieliśmy do czynienia z ciągłym pokrzykiwaniem ze strony decydentów politycznych, że mianowicie — „teoria się spóźnia”. Teoria się spóźnia, rzeczywistość wyprowadza teorię. Taki zarzut był formułowany pod adresem marksistów od początku lat siedemdziesiątych. Zarzut pozornie słuszny. Bo co rozumiano przez ową „rzeczywistość”?

KRZYŻAGÓRSKI: Strukturę społeczną i jej świadomościowe refleksy?

KOLAKOWSKI: Właśnie nie! Rozumiano — Biuro Polityczne, które miało „dalekosiężne plany”, a teoretycy „nie nadążali” z ich motywowaniem. Tego tylko wymagano od teoretyków: żeby zgadywali i motywowali te plany.

MIGASIŃSKI: Ten marksizm, jaki uprawialiśmy w minionych kilkunastu latach, z samej wstępy istoty kryzysu rozpoznać nie mogli, bo przeniknięty był myśleniem technokratycznym. Był traktowany jako narzędzie oddziaływania na społeczeństwo w kierunku pożądanym przez władzę. Narzędzie propagandowe. Jako taki, nie miał oczywiście autonomii potrzebnej do tego, żeby rozpoznać procesy społeczne. Poza swoim instrumentalnym funkcjonowaniem na zewnątrz propagandy, technokratyzm ten upatrywałem w traktowaniu stosunków pomiędzy różnymi warstwami bytu społecznego i społecznej świadomości jako stosunków zewnętrznych. To znaczy: przy oddziaływaniach na świadomość społeczeństwa traktowano ją jako pewien zamknięty schemat, który — bądź został wniesiony przez tradycję, bądź przemieszony z zewnątrz, z „wrogich wpływów”. Na tę strukturę świadomości należałoby — twierdzili technokraci — oddziaływać, bombardując je z zewnątrz takimi bodźcami, hasłami, sloganami, które mogłyby strukturę tę niszczyć, albo popychać ją w pożądanym kierunku.

KRZYŻAGÓRSKI: Mówi pan o założeniach myślowych ówczesnej propagandy i agitacji, lub — używając innej terminologii — o problematyce inżynierii społecznej. Ale czym i przeciwko czemu jest technokratyzm? Artykułacją czyich interesów?

Jakie miejsce zajmuje w systemie ideologii społeczeństwa okresu przejściowego?

MIGASIŃSKI: Jest on artykulacją interesu aparatu politycznego i administracyjnego, który pragnie przystosować sytuację społeczną do swoich celów. Celem władzy jest jej uziemianie. Centralizacja.

KRZYŻAGÓRSKI: Obawiam się, że jest to definicja wątpliwa. Przecież identyczny cel miał ten aparat władzy, który funkcjonował w latach sześćdziesiątych. A nie spotkał się on z zarzutem „technokratyzmu”. Spróbujmy odnaleźć w sposobie funkcjonowania ekipy gierkowskiej to, co swoiste. Potoczna intuicja podpowiada, że specyficznym dla niej był właśnie technokratyzm, lecz rozpoznawany inaczej — jako „aideoowy praktycyzm”. Jako „myślenie inżynierskie”, które faktycznie było wyartykułowaniem interesu rozrastającego się gwałtownie i przenikającego do wszystkich dużych grup społecznych drobnomieszczaństwa.

o stanie marksizmu

MIGASIŃSKI: To, że nie dostrzegaliśmy technokratyzmu w latach sześćdziesiątych, jest właśnie niedostatkiem polskiej myśli marksistowskiej. A to dlatego, że — niezależnie od tego, jakie hasła propagandowe były głoszone — cele były podobne: manipulowanie świadomością, przy traktowaniu jej jako oderwanej od rzeczywistych struktur społecznych. Świadomość była więc traktowana jako oderwany fragment rzeczywistości społecznej i przede wszystkim przez działanie na nią usiłowano coś zrobić. Czy były to hasła egalitaryzmu, które kiedyś tam usiłowano wpajać świadomości społecznej, czy — później — hasła dorabiania się, czy wreszcie — hasła narodowe i hasła rodziny, to dla mnie nie stanowi wielkiej różnicy.

KOLAKOWSKI: Ja myślę, że między latami sześćdziesiątymi a siedemdziesiątymi można by sformułować taką różnicę: w latach sześćdziesiątych panowało przekonanie, że wszystkie istotne sprawy w Polsce rozgrywały się w sferze ideologii, a nie w rzeczywistości. Stąd ówczesne szaleństwo ideologiczne. Dyskusje na te tematy ciągnęły się na zebraniach po kilkadziesiąt godzin. Organizowano całe masy akcji ideologicznych, deliberacji teoretycznych, podczas gdy sprawy gospodarki schodziły na plan dalszy. Owa jednostronność zaowocowała właśnie w latach późniejszych, w ramach drugiego członu tej opozycji, kiedy to stwierdzono, że wszystkie istotne sprawy tego kraju rozgrywały się wyłącznie w sferze techniczno-gospodarczej. Od jednej mistyfikacji przeszliśmy do drugiej mistyfikacji — to jest właśnie różnica pomiędzy minionymi dekadami.

RAINKO: Rozpoznanie Sierpnia należałoby zacząć od stwierdzenia, że najbardziej wykształcone technicznie warstwy klasy robotniczej, stosunkowo dobrze usytuowane materialnie, czuły się od długiego czasu, co najmniej od połowy lat siedemdziesiątych, zablokowane w swych aspiracjach, pozbawione nadziei, awansu społecznego, możliwości wpływania na bieg spraw społecznych. Grupy te najżywiej, najaktywniej reagowały również w płaszczyźnie politycznej i świadomościowej. Z nimi szukał kontaktu KOR, z nimi w kontakt KOR wszedł, dla nich budowali świadomość intelektualną. Była to świadomość wyraźnie produkowana na zapotrzebowanie idące z tych warstw. Ale, jak zwykle bywa w historii, zadziałał tutaj mechanizm uniwersalny, znany przynajmniej z całych dziejów nowożytnego świata. Warstwy produkujące nie mogą nigdy odegrać wielkiej roli historycznej, jeśli nie pociągną za sobą innych warstw, najsłabszych warstw społecznych. W tym wypadku taka sytuacja się wytworzyła. Upośledzenie społeczne dotknęło bowiem całość społeczeństwa, całość społeczeństwa została, poczuła się oszukana w swych aspiracjach. Wysoce pułap świadomościowy celów, które stawiano przed społeczeństwem i niekierowność, nędza codziennej rze-

czywistości zderzyły się tutaj tragicznie ze sobą. W efekcie warstwy najbardziej politycznie i świadomościowo ruchliwe, a zablokowane w swych aspiracjach, mogły pociągnąć za sobą całe społeczeństwo. Gierkę budował — twierdzą, że w sposób świadomy — piramidę interesów społecznych, która by wspierała jego aparat władzy. Tylko dzięki temu po upływie dziesięciu miesięcy aparat ten może się utrzymać i konfrontować z całym społeczeństwem. Gdyby to była tylko „gierkuszka”, niewielka liczebnie i pozbawiona głębszych odniesień społecznych, byłaby zgnieciona już dawno. Ona się tak długo utrzymuje, bo mamy tu do czynienia z interesami sięgającymi w głąb; to nie jest kwestia odpowiedzialności za to, co się stało, to kwestia interesów, najgłębszych interesów materialnych. Przeskakując w dzień dzisiejszy i przyszłość — grozi nam niebezpieczeństwo, że te warstwy będą kreować również przyszłość. Jeśli konfrontację społeczną

rozstrzygną na swoją korzyść, a tak się przynajmniej rzecz rysuje w tej chwili, one będą dyktować najwyższe cele społeczne. Nie wykluczone, że zarysuje się wówczas konflikt między tymi warstwami — nazwijmy je właśnie arystokracją robotniczą — a pozostałymi warstwami społecznymi.

KOLAKOWSKI: A jeśli się arystokracja robotnicza zablokuje z owym rozbudowanym i głęboko sięgającym aparatem władzy?

KRZYŻAGÓRSKI: Klasa robotnicza jest — albo zbiorowym podmiotem poznającym swoją kondycję społeczną i swoje miejsce w procesie historycznym, albo co najmniej selekcjonerem idei, które są do niej „wnoszone”. Jeśli przyjmujemy hipotezę roboczą, że na Wybrzeżu była tylko selekcjonerem idei, jak to się stało, iż idee tam wniesione przekroczyły społeczny horyzont arystokracji robotniczej i stały się coraz bardziej powszechne? Nie tylko w klasie robotniczej?

RAINKO: Mechanizm jest tu znany. Każda przodująca warstwa musi mieć za sobą całe społeczeństwo. W sytuacjach wielkich kryzysów społecznych i w sytuacjach rewolucyjnych, warstwa przodująca reprezentuje interes całego społeczeństwa przeciwko klasie panującej, a w naszym przypadku — aparatowi władzy. Ale w momencie, kiedy proces rewolucyjny zostanie rozstrzygnięty, natychmiast ta zwycięska warstwa zaczyna się dzielić, członkować, rozpadać. Tak było zawsze! Burżuazja miała za sobą w okresie walki rewolucyjnej proletariata i drobnomieszczaństwo, ale po uzyskaniu władzy politycznej zaczęło się to wszystko członkować, ujawniły się konflikty społeczne określające różne systemy sojuszy. W latach siedemdziesiątych utrwalona została wizja życia społecznego, jako wspólnoty posiadaczy. Jedyne, co może temu przeciwstawić marksizm, to wizja życia społecznego, jako sfery współdziałania. Po Sierpniu wytworzyły się mechanizmy współdziałania politycznego, a niejednolitość światopoglądu sprawia, że wprowadzić mogą w nim być obecne odpryski ideologii marksistowskiej, ale mogą też współistnieć z nimi odpryski innych ideologii, które są z marksizmem bardzo trudno do pogodzenia lub wręcz pogodzić się z nim nie dają — ideologia chrześcijańska, koncepcje syndykalistyczne etc. W jakiej roli i sytuacji znalazł się marksizm? W jakiej był poprzednio i co się mu teraz szykuje? Twierdzą z uporem, że sytuacja zaiste tragiczna. Był to typowy konflikt wartości i lojalności. Marksista nie może odrzucić ani partii, ani klasy robotniczej. Miejscem naturalnym dla marksizmu, jako ideologii, jest partia, jako wielki podmiot społeczny, a nie sami intelektualiści, choćby najbardziej partyjni. Ale jednocześnie marksizm przemawia w imieniu

klasy robotniczej. Taki jest jego status, jako wielkiej ideologii społecznej. Marksizm w sytuacji, kiedy wytworzył się konflikt klasy i partii, znalazł się w sytuacji wewnętrznego rozdwojenia, pęknięcia, i to pęknięcie warto by śledzić na rozmaitych płaszczyznach, jak ono przełamywało się wręcz przez dusze poszczególnych marksistów. Jak przełamywało się w strukturalizacji problematyki, w świadomościach pozorych, w zafałszowaniach rzeczywistości. Ale sytuacja ta miała pewne następstwa. Nie kończyły się one na tej rozdwojonej lojalności; marksizm stracił zaufanie — i we władzy, i w klasie. Dla grupy rządzącej okazywał się niebezpieczny ze względu na swe treści klasowe, dla klasy robotniczej okazywał się obcy, bo jednak był zawłaszczony przez aparat władzy. Znalazł się więc w próżni społecznej, zapadł się w swej społecznej roli, zniknął stopniowo z areny pu-

członkował, ale trudno wyróżnić w klasie robotniczej warstwę, do której mieliby odwoływać się intelektualisci. Sądzę, że przyszłość intelektualistów wiąże się ze zmianą statusu klasy robotniczej, to znaczy — utworzeniem takiego systemu instytucji społecznej, żeby klasa robotnicza przestała być określona tylko poprzez swoje uczestniczenie w procesie produkcji.

KRZYŻAGORSKI: Spytałem wprost: jeśli miałby pan kogoś wesprzeć myślą, przy kim pan stanie? U boku górnika, hutnika, stocznio-wca, czy tkacza? To jest wielkopre-mysłowe, i to jest wielkopre-mysłowe, natomiast udział tych kategorii zawodowych w podziale dochodu narodowego wcale nie jest równy.

KOŁAKOWSKI: Padło tu już sformułowanie, że marksizm będzie się rozczłonkowywał. On się już rozczłonkował. Możemy się spodzie-wać, że w najbliższym czasie będzie-

powołanie. To znaczy — być wyrazicielem dążeń tych najbardziej upośledzonych warstw społecznych klasy robotniczej, a jednocześnie — wnosić tam świadomość historyczną. Właśnie tam — w te najbardziej jeszcze zapóźnione pod względem historycznym warstwy społeczne. Tylko to może przyczynić się do odrodzenia marksizmu.

KRZYŻAGORSKI: Cieszę się, że sprowokowałem moim pytaniem takie piękne oświadczenia. Ale w tym pytaniu była pułapka. Przecież marksizm upośledzonych, upośledzonych w podziale dochodu narodowego, będzie się z konieczności spotykał z doktryną społeczną kościół, który ulega wewnętrznym przemianom i też się będzie odwoływał do tej części społeczeństwa. Kiedyś coś takiego deklarują intelektualisci przeciwnych orientacji światopoglądowych, ogarnia mnie podejrzenie, że oto jesteśmy u progu konwergencji dwóch filantropii...

ŁOZIŃSKI: Myślę, że jest to istotny problem, czy nie stanie się aby tak, iż to Kościół będzie reprezentantem interesów warstw najuboższych. Ale Kościół, ze swym doświadczeniem politycznym i naturalną enigmatycznością wypowiedzi, będzie próbował lawirować. Przy czym z tego, co w tej chwili się obserwuje sądzę, że raczej będzie on popierał w swych funkcjach politycznych interesy wielkopre-mysłowej klasy robotniczej. Natomiast jeśli chodzi o interesy najbardziej upośledzonych grup proletariatu, będzie to funkcjonowało w Kościele jako pewien ozdobnik ideologiczny. Nasze zadania w tej sprawie są podwójne. Z jednej strony, musimy uświadomić społeczeństwu tę zróżnicowaną grę interesów i te różne możliwości rozwoju sytuacji. Z drugiej — uświadomić treść różnych eksplicacji, które często będą zmistyfikowane i pokazać, że owa mistyfikacja chrześcijańska, która będzie — jak sądzę — dokonywać się w odniesieniu do najbardziej upośledzonych, jest mistyfikacją właśnie.

MIGASINSKI: Marksizm może odrodzić się przez dyskusję. Przez wyraźne zakreślenie swoich granic ideologicznych i wskazanie na granice ideologiczne ideologii chrześcijańskiej. Chodzi mi o sytuację, której dotyczy pytanie Krzyżagórskiego. Mianowicie: w tych najbardziej upośledzonych warstwach klasy robotniczej świadomość chrześcijańska, światopogląd chrześcijański jest najbardziej zakorzeniony. Niezależnie od tego jak on jest werbalizowany i czy w ogóle jest werbalizowany. Owszem, on jest właśnie tam najbardziej zakorzeniony, ale właśnie poprzez dyskusję z nim i niesienie świadomości historycznej do tych warstw marksizm odzyska swoją szansę.

KRZYŻAGORSKI: To dobrze, bo ja też jestem za marksizmem proletariackim, plebejskim. Wobec tego kwestia ostatnia. Jest marksizm polski częstką myśli społecznej światowego ruchu robotniczego, elementem komunistycznej wspólnoty ideowej. Jeśli ma ulec, jak to programujecie, daleko idącym przemianom, a nawet polaryzacji ideowej, jak ma się to do jego obecności w tej wspólnoty? Zwłaszcza we wspólnoty, która funkcjonuje w obrębie państw socjalistycznych?

RAINKO: Myślę, że pogłębi się nasze rozumienie natury i charakteru systemu socjalistycznego. System ten jest wciąż zagadką historyczną, jego natura jest niesłychanie osobliwa. Myślę, że świadomość, którą uzyskamy, rozejdzie się po całym układzie socjalistycznym, stanie się zapładniającą i dla aparatu władzy, i dla członków społeczeństw socjalistycznych.

KOŁAKOWSKI: Ja też myślę, że to co dzieje się w Polsce, zarówno praktycznie, w procesach społecznych, jak i w teorii ma wymiar rzeczywiste historycznego eksperymentu. Jest to eksperyment, w którym idzie o zbadanie granic reformowalności systemu. Jeśli ten eksperyment nie zakończy się totalnym krachem, jeśli uda nam się wyjść z kryzysu ekonomicznego, to nasz eksperyment będzie owocował później w przemysłach i w praktyce społecznej. Właśnie jako wyznacznik granic reformowalności socjalizmu.

KRZYŻAGORSKI: Zaczęliśmy tę dyskusję od ogłoszenia upadłości polskiego marksizmu. Zakończyliśmy obietnicą: świat się od nas wiele nauczy. W porządku — jesteśmy w Polsce.

W odpowiedzi na krytyczną notatkę zawartą w numerze z 11.10.1981 r. „Kontaktów” (w rubryce „Spiecia”), której autor wmałwiał Komitetowi Blokowemu przy ul. B. Prusa 13 w Łomży, że jest dotknięty „przyrośnięciem rąk do tyłka”, stwierdzamy, co następuje:

Skorzystaliśmy z sugestii autora omawianej notatki i zorganizowaliśmy „sesję naukową” na temat: „Komu, gdzie i dlaczego ręce przyrosły”. Niniejszym podajemy wyniki dyskusji.

1. Komitet Blokowy zwraca uwagę, że autor omawianej notatki prasowej jawi się nam w roli ślepego, który głosi publicznie, że nie znosi kolorów i żąda ich zlikwidowania. Dowodem tego jest poruszona przez niego z takim dramatyzmem sprawa „trawnika 2x8 m”, który miał się stać areną czynu społecznego tylko dlatego, że został on koncertowo spartolony przez fachowców ze Spółdzielni Mieszkaniowej. Otóż uprzedziliśmy, że jest on już skopany i zagrabiony, ale przez tych, którzy go przedtem nie chcieli zauważyć. Dokonało tego gigantyczny przedsięwzięcia czterech robotników plus jeden umysłowy i to w zawrotnym tempie kilku pełnych dniówek! Wymusiliśmy wreszcie wykonanie obowiązków i taki był nasz cel. Niestety, trawki na trawniku dalej nie ma, widocznie „przyrosła” gdzie indziej. Niech odpowiedzialni za to się jednak nie martwią, ich „recenzent prasowy” zwali znów winę na Wielki Czyn Społeczny Lokatorów Osiedla Jantar.

2. Oświadczamy, że oprócz trawników poruszaliśmy sprawy kilkunastu większych fuszerek wytkniętych Spółdzielni Mieszkaniowej w Łomży. Sposób potraktowania tego problemu w prasie daje nam niezachwianą pewność, że autor omawianej notatki na pewno uniknie losu króla Popiela, a to dzięki życiowemu sprytwi, który nie kazał mu wspomnieć na przykład o zaszczerzonym, pozabawionym pojemników i rozlewającym się na trawniku śmietniku przy nowym przedszkolu (przy ul. B. Prusa). No cóż, szczury są ponoć mądre i widocznie warto zabiegać o ich względy!

3. Proponujemy, aby autor krytyki naszych „przyrośniętych rąk” zorganizował „Komitet Obrony Fuch — majstrów” i został jego rzecznikiem prasowym. Tak subtelny dowcip powinien być przecież wykorzystany jak najrychlej.

4. Komitet Blokowy, mając na uwadze przyszłość lokatorów, kategorycznie zabronił swoim członkom wkładania rąk do tylnych kieszeni spodni. Wiąże się to z niebezpieczeństwem nieumyślnego dotknięcia autora omawianej notatki. Wtedy faktycznie mogą nam „ręce przyrosnąć do tyłka” i przepowiednia by się sprawdziła.

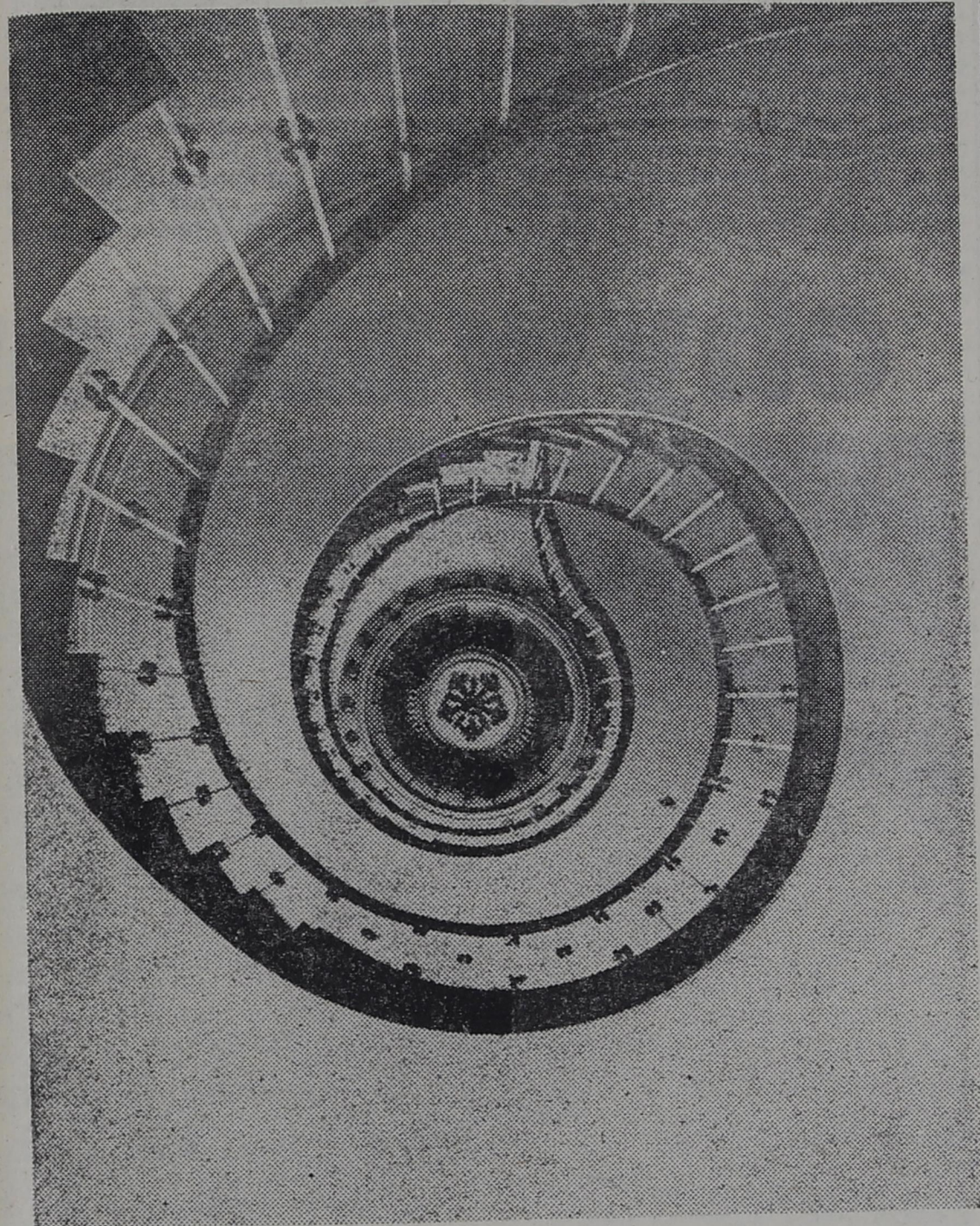
5. Informujemy, że ustalono temat następnej „sesji”, który brzmi: „Wpływ brakorobów i partaczy na stan osiedli mieszkaniowych w Łomży z uwzględnieniem roli miejscowej prasy — w świetle najnowszych badań nad działalnością Spółdzielni Mieszkaniowej w Łomży”. Warunkiem wzięcia w niej udziału jest posiadanie dyplomu ukończenia studiów, dlatego niestety stwierdzamy, że autora krytycznej notatki pewno nie zobaczymy. No cóż, winne jest tylko zasadniczo różne traktowanie spraw społecznych przez obie stro-

Komitet Blokowy

w Łomży

przy ul. B. Prusa 13
(trzy podpisy nieczytelne)

Od autora: Do listu załączono pismo przewodnie, w którym komitet blokowy pisze: „Prosimy o wydrukowanie naszej odpowiedzi w całości i na naszą odpowiedzialność w najbliższym numerze. Nie zgadzamy się na żadne poprawki, ani formalne, ani treściowe tekstu”. Tym groźnym sformułowaniem komitet jeszcze raz potwierdził gigantomanie swego myślenia, dyktując nam — w blachej w sumie sprawie — zasady redagowania tygodnika, z którymi każdy, kto zna pracę redakcyjną, zgodzić się nie może. Niemniej ze względu na dowcipny charakter listu publikujemy go w całości, co nie zmienia mojej oceny meritum sprawy.



blicznej; tu jest najgłębszy mechanizm określający sytuację marksizmu. W odczuciu klasy robotniczej marksizm, zawłaszczony przez aparat władzy, był narzędziem zniewalania tej klasy, zaprzeczania jej interesów. Ten marksizm nie mógł posłużyć za hasło opozycji, walki i konfrontacji. Znalazła się więc klasa robotnicza w próżni ideowej, a nie ma ruchu społecznego, który może trwać długo w próżni. W tej sytuacji pewne jej warstwy sięgnęły do ideologii KOR-u. Ale ona okazywała się zbyt niedookreślona społecznie, by nadawać się na ideologię masową. Masową ideologią mogła stać się natomiast doktryna społeczna kościoła. Katolicyzm przeszedł wielkie przeobrażenia, zwłaszcza w XX w. Buduje filozofię społeczną, rozbudowuje różne wątki związane z teorią solidaryzmu społecznego, z teorią sprawiedliwości społecznej, to nadało się dla naszych czasów i zostało wykorzystane. I oto mamy w tej chwili taką sytuację: robotniczy ruch odnowy dokonuje się głównie pod hasłami religijnymi. Na zasadzie opozycji wobec aparatu władzy, o którym nadal się sądzi, że marksizm jest jego własnością. Jest to sytuacja dla marksisty i nieprzyjemna, i kłopotliwa.

KRZYŻAGORSKI: Powiedzmy jednak, że sytuacja ta jest też intelektualnym wyzwaniem i jako taka — może być teoretycznie płodna. W związku z tym — pytanie. Jeżeli marksizm miałby być artykulacją interesów klasy robotniczej, i jeżeli zgodzimy się, że klasa ta ulega procesowi statyfikacji, artykulacja interesów jakiej części klasy robotniczej miałaby być refleksją marksistowską?

ŁOZIŃSKI: Marksizm będzie się

my mieli kilka wersji marksizmu. Będzie funkcjonował, i funkcjonuje przecież najpoważniej, marksizm aparatowy, marksizm władzy, przy czym jest to elita bardzo szeroka. On będzie się przeformowywał i wykształcał się nowi ideologowie, którzy będą próbowali niejako w innym języku sformułować te same cele. Sądzę, że może być tak, iż marksizm władzy będzie się artykułował jako ideologia arystokracji robotniczej. W „Solidarności” też będzie się artykułować ta właśnie społeczna sfera interesów. Obok tego, i to jest największa szansa, to jest to, przy czym ja bym osobiście obstawał, wykształci się postać marksizmu, którą bym nazwał — plebejską. Marksizm arystokracji robotniczej będzie miał przede wszystkim postać technokratyczną. Jego ekspresją w kręgach partyjnych mogłyby być te tendencje, które już obserwujemy przy reformie gospodarczej. To znaczy: taka przemiana gospodarki, jaka umożliwiłaby pełną realizację aspiracji wielkopre-mysłowej klasy robotniczej. A to, co w najmniejszym stopniu jest artykułowane, i co artykułować trzeba, do czego my, jako teoretycy, powinniśmy przywiązywać największą wagę, to będą interesy plebejskich grup robotniczych. Tu widziałbym miejsce inteligencji partyjnej.

MIGASINSKI: Ja myślę, że to jest nie tylko potrzeba, ale jest to szansa dla marksizmu. Szansa wyjścia z tej sytuacji, o której mówił Rainko: z próżni pomędzy partią a klasą. Marksizm reprezentujący interesy, jak je umownie określił Krzyżagórski, tkaczki, a nie przede wszystkim interesy górnika czy stocznio-wca, a więc marksizm plebejski, może spełnić swoje dziejowe





O d marszu się zaczęło. W ciężkich, junackich saperkach, w trzydziestej czwartej brygadzie Służby Polsce. Od pieśni o pracy uczciwej i zwycięskiej. Od roboty. Na zniszczonych Żuławach, warszawskim Okęciu, w Płocku. Roboty twardej. Lecz coś tam! Młodość! Węć „znów się pieśń na ustach rwie”. I — sto dwadzieścia procent normy, sto czterdzieści, sto osiemdziesiąt! „W niezmordowanej pracy dla Ojczyzny nasza brygada osiąga coraz lepsze wyniki! Nasz nowy przewodnik — huczał głośnik nazwiskiem — osiągnął...”

Potem wieczorny apel. „Baczność! Rozkaz dzienny numer... udzielam pochwały...”. „Ku chwale socjalistycznej Ojczyzny!”

Duma. I zmęczenie. Nim jednak wyciągnęło się rękę po kolacyjny kawałek chleba — znówu pieśń:

„Kto się młota i ognia nie lęka
kto upartą ma wolę i dłoń
kto przed wrogiem tchórzliwie nie
klęka

kto ludowi budować chce dom

Ten jest z nami, ten nasz brat

ten jest zuch, ten jest chwali!”

— To znamy. Co dalej?

— W wiejskiej szkółce, której byłem kierownikiem, poznałem swoją przyszłą żonę. Po ślubie postanowiliśmy przenieść się do Miasta. Zamieszkaliśmy u teściów, w pobliskiej wsi, bo nikt tu na nas z kluczami do mieszkania nie czekał. Miasto było zniszczone; rok 1952. Żona pozostała w szkolnictwie, ja zacząłem pracować jako instruktor kulturalno-oświatowy w Powiatowym Domu Kultury. Po roku aktyw młodzieżowy zaproponował mi stanowisko kierownika szkolenia ZMP przy Komitecie Powiatowym partii. Za kilkanaście miesięcy przyszedł jednak Październik Odnowa. Likwidacja ZMP. I wtedy wszystko się skończyło.

— To ogólniki, jasniej proszę.

— Po raz pierwszy zostałem bez pracy. I po raz ostatni tak krótko. Po kilku tygodniach poprosił mnie bowiem na rozmowę komendant powiatowy MO: „Znamy was, mamy do was zaufanie. Po roku, po dwóch skierujemy na szkołę oficerską. Teraz pomyślimy o mieszkaniu. Więc jak?”

Przydzielono mi peryferyjną część Miasta i dwie sąsiadujące wsie. Był to czas, kiedy nie lano się za pijaczkami, drobnym chuligaństwem. Wokół grasowały jeszcze bandy. Wiedziałem, że na moim rewirze były kiedyś silne gniazda AK, WIN-u. Tych ludzi należało mieć wtedy szczególnie na oku. Obserwowałem ich, lecz widząc rzetelną pracę, nie nękałem; łatwo zaś było wówczas posądzić człowieka, oskarżyć i skrzywdzić. Choćby taki przypadek. Któregoś dnia znalazłem się w R., wstąpiłem do sołtysa. Po chwili na stole pojawiła się nieodłączna ciwarka. Piliśmy więc wolniutko, zagryzali domowym chlebem ze słoniną. Słomniło się. Rozmowa szła niby normalnie, lecz nagle gadatliwość i serdeczność gospodarza zaczęły budzić mój niepokój. Tym bardziej, że za oknem jakby ktoś się czał, przestępował z nogi na nogę. „Kto tam się kręci, panie sołtysie, pod tym oknem?” „Ee, wydaje się Wam. Zresztą zaraz sprawdzę” — i wyszedł. Wrócił po dobrym kwadransie. „Wszystko w porządku” — powiedział z ulgą.

Gdy jednak po chwili opuszczałem jego mieszkanie, tuż za progiem powitał mnie cichy śmiech. „Tola jestem — przedstawił się w ciemności mężczyzna z granatem w dłoni i obrzynkiem na plecach. — Pierwszy ruch do kabury i razem polecimy do nieba” — zaśmiał się zonglując granatem.

Co miałem robić? Spuściłem nos i przed siebie. Potem okazało się, że taki finał zawdzięczam sołtysowi. Wystawił o mnie bandycie dobrą opinię. Można go było skazać za ukrywanie, pomoc, niepowiadomienie władz, ale trzeba było też wczuć się w położenie tych, spokojnych i uczciwych najczęściej, ludzi: nie mieli wyboru. Z jednej strony mogli oberwać od nas, z drugiej — od bandy. Za to samo.

Radziłem sobie nieźle. Wtedy jeszcze wydawało mi się, że „kto się młota i ognia nie lęka... ten nasz brat”. Więc gdy odkryłem, iż rekwirowane w czasie przestępstwa pieniądze wędrują do kieszeni mojego komendanta, ja, kapral, wystąpiłem na egzekutywny Komitet Powiatowego wprost, w oczy: „Obywatel kapitan, komendant...”. I tak dalej. Poszedł do mamra na cztery lata pośrednik w interesie. Mój szef natomiast przy

najbliższej okazji, również wprost, w oczy, powiedział mi: „Płyn, wróbelku, gdzie oczy poniosą. I zapomnij, że byłeś w Mieście. Tu nie będziesz miał różanego życia. Z serca radzę”. „Zobaczmy” — odparłem. Zło było dla mnie jeszcze złem; dobro — dobrem.

Zobaczyłem jednak, że w milicji nie miałem już czego szukać. „Dobrowolnie” przeszedłem więc do Powiatowej Rady Narodowej jako powiatowy opiekun społeczny. Kapitan nie był jednakże z tych, co nie dostrzegają danego słowa. A możliwości miał nieźle: zasiadał w egzekutywie, był członkiem rady narodowej, najważniejszym człowiekiem w wydziale spraw wewnętrznych. Nie trzeba więc było długo czekać, by jeden zaczęli uważać mnie za oddelegowanego szpicla, inni — za człowieka, którego nie lubi pan komendant. W jednym i drugim przypadku nikt do byłego kaprala nie pędził z rozwartymi ramionami. Gdy więc atmosfera wokół mnie zagaściła się do tego stopnia, że trudno już było swobodnie się poruszać, z ulgą odsunąłem się od „góry”. Objąłem, wakuje akurat, stanowisko inspektora młynów. Ale i tu...

— Tak, znamy i to. Nie potrafiliście się z ludźmi dogadać, uładzić. A przecież pierwsi wyciągnęli do was rękę.

— To prawda. Zbliżały się święta wielkanocne. W przeddzień przyszli do mojego biura, poprosili do siebie. „Sa wszyscy” — cieszyli się.

Pojechaliśmy do jednego z młynów na skraju Miasta. Wszedłem do środka, a tam — stoły uginające się od wódki, szynki, ciepłych zakąsek. Gospodarz, kierownik młyna, rumiany i serdeczny, gwałt się w uklonach, zapraszał do stołu. „Dziękuję — rzekłem od drzwi. — W czasie pracy nie piję.” Zakotłowało się. Wszyscy rzucili się do wyjścia. „Skurwysyn — usłyszałem jeszcze. — Podpieprzy nas, gnojek!”

Wyszedłem. Oni, okazało się, wrócili, wypili swoje i już byli zgodni. Co do mnie. Nie przejmowałem się tym jednak. „Duperele” — myślałem, tym bardziej że na głowie miałem znacznie poważniejszą sprawę. Przed kilkoma dniami pojeździłem sobie bowiem samochodami dowożącymi do młyna zboże i wywożącymi mąkę. Coś zaczęło mi się wówczas nie zgadzać. Po kilku dniach wiedziałem, co. Jako inspektor zgłosiłem swoje spostrzeżenia do NIK-u. Przyjechali. Zarzuty potwierdziły się w pełni, wyszło kilka innych sprawek. Z pracy wyleciał... konwojent, a mnie oddelegowano do prac zleconych: człowiek do dyspozycji. Pan kierownik, aktywista, członek ORMO, mijając mnie przypadkowo — kiwał od tego czasu z politowaniem głową. Nie mogłem się więc połapać: jak to jest? Dlaczego? „Tu wszyscy to koledzy ze szkolnej ławy, z jednego podwórka. Musi pan jakoś nawiązać z nimi kontakt, zmniejszyć dystans” — powiedział mi w rok później nowy przewodniczący PRN-u.

Do nawiązania „kontaktu” nie wystarczyły jednak dobre chęci. Trzeba było mieć pieniądze — na małe bibki, na pół litra po pracy, na obiad z dobrym piwem. A ja wychowywałem się w jedenastoosobowej rodzinie na dwóch i pół hektarze ziemi. Teraz sam miałem już dzieci. Nauczyłem się wszystkiego — pracowałem od najmłodszych lat u hambrow, przy wyrębie lasów — zdobyć pieniądze poza pracą jednak nie potrafiłem.

Nowy przewodniczący, człowiek z zewnątrz, obiektywny, wysłuchał mnie, polecił zbadać wszystko w szczegółach i znowu wróciłem do PRN-u. Jako starszy referent do spraw gospodarki wodnej. Po raz pierwszy od kilku lat zaczęło mi się naprawdę dobrze układać. Po czterech latach przypomniał sobie jednak o mnie mój „opiekun”. Zarządzono więc kontrolę i posadzono mnie o niestusze naliczenie kilku złotych za wyjazd w teren. „To bzdury, pretekst!” — nie wytrzymałem. „Dostaniecie dobrą opinię — usłyszałem w odpowiedzi. — Wszędzie was z nią przyjmą. Nawet sami możemy wam coś zaproponować”.

Zaproponowali... pracę sprzedawcy trumien w miejskim przedsiębiorstwie gospodarki komunalnej. Za grosze. Uniosłem się, wziąłem opinię i odszedłem. Był rok 1964. Przez cały następny nie znalazła się dla mnie praca w Mieście. Po roku udzielono mi dyspensy. Zostałem rewizorem w PKS-ie. Siedziałem więc ciągle w terenie, nocowałem poza domem. ale

z czegoś trzeba było żyć. W domu było już czworo dzieci.

— Pewnego dnia, po pracy, wracałem na nocleg w W. Dzień był targowy, autobus złapał godzinę opóźnienia; tłok, hałas, kilku gości na gazie. Usadowiłem się jakoś koło kierowcy, ruszyliśmy. W połowie trasy, w tyle autobusu, wybuchła scysja między pasażerem a konduktorem. O interwencji nie było mowy: kilku pasażerów popędzało kierowcę, by jechał dalej, bo spóźnią na pociąg. Na przystanku w C. pasażer zgłosił na posterunku, iż konduktor wydał mu stary bilet. Zaczęto prowadzić przeciwko niemu dochodzenie. Po kilku tygodniach dochodzeniem objęto również mnie: musiałem wiedzieć o zamiarach konduktora, byłem z nim w zmwowie. Przesłuchany zostałem jako podejrzany. Podejrzany nie może być rewizorem, dostałem więc wypowiedzenie.

Znowu zgubiłem się w tym wszystkim. O co, do diabła, chodzi? Pojaśniało mi, gdy skojarzyłem, kto w W. prowadził dochodzenie: przecież to stary pupilek mojego „opiekuna”. Spisał się zresztą doskonale. Dochodzenie trwało cały rok; ten rok znowu siedziałem bez pracy. Wstyd było przyjmować paczki z opieki społecznej — byłem zdrowy, silny, miałem jakieś tam kwalifikacje — ale nie

było wyjścia. Dorobić mogłem jedynie od czasu do czasu, dorywczo. Bywało więc, że dzieci ze swoich skarbonkowych oszczędności kupowały chleb. W tym czasie otrzymałem z PKS-u... premię za ponadplanowe wywiązanie się w ostatnim okresie swojej pracy z obowiązków rewizora. Sąd w W. stwierdził jednak jasno i bez zająknięcia: „Działając wspólnie i w porozumieniu, w celu osiągnięcia korzyści materialnej dla siebie przywłaszczyli sobie — konduktor i ja — kwotę 18 złotych w ten sposób, że wręczyli pasażerom już uprzednio skasowane bilety, zaś uzyskane pieniądze zatrzymali dla siebie, czym działali na szkodę...”. I ogłosił wyrok: dziesięć miesięcy, trzy tysiące złotych grzywny dla konduktora; półtora roku i pięć tysięcy złotych grzywny dla mnie. Więzienia! Choć nigdy nie byłem dotąd karany, choć wszystkie opinie, jakie mogłem przedłożyć, świadczyły za mną. Sądu to jednak nie interesowało.

O północy zdecydowałem się wejść do domu. Znowu płacz żony, rozpacz. Rano zwróciłem się do tych, którzy dobrze mnie znali. Z wyrokiem rozmawiał nikt jednak nie chciał. Na dokładkę na ulicy spotkałem pana kapitana. „No, doigrałeś się, wróbelku — zataił radośnie ręce. — Już ja cię uchodzę. Będziesz

obywatela



mnie jeszcze w buty całował." „Zobaczmy — zhardziałem znowu. — Dziś pan się cieszy, jutro może i dla mnie słońce zaświeci." „Milcz! Już ja ci je zapalę!"

To wszystko jakby dodało mi otuchy. Wziąłem od żony ostatnie jej pobyty, pojechałem do sądu wojewódzkiego założyć rewizję. Minęło następne pół roku. Adwokat zaangażował się jak w swoją sprawę. Sprawdził wszystkie dokumenty, dotarł do milicyjnych protokołów. Zawniósł: „zachodzi konieczność sprawdzenia, w jaki sposób doszło do postawienia w stan oskarżenia, przesłuchania oskarżonego jako podejrzanego i zapoznania go z dowodami zebranymi między 20—28 II, gdy w tym czasie znajdował się on u swej matki we wsi K., a z wymienionych protokołów wynika, że był obecny przy przesłuchaniach, ale odmawiał podpisu. Jeżeli takie fingowanie protokołów było możliwe w toku śledztwa, to nie jest przecież wykluczone i fingowanie innych protokołów".

Pół roku gromadziliśmy dowody o pomylce sądu w W. I proszę zobaczyć: „Rewizja tak oskarżonego jak

WŁADYSŁAW
TOCKI

szota

i jego obrońcy jest zasadna". I tu — „Sąd zaskarżony wyrok uchyla i oskarżonego od dokonania zarzucanego mu czynu uniewinnia". Teraz ja stałem się konsekwentny, złożyłem skargę na sędziego w W. Okażało się, że nie byłem z tym specjalnie pierwszy w kolejce. Sędzia przestał być sędzią.

— Więc to was tak rozzuchwalilo? Bo przecież obiecywaliście po sprawie, że nic, poza robotą, nie będzie was interesowało. I co?

— Tak. To prawda. Powiedziałem sobie: rób swoje, dobrze, solidnie, i ciesz. Na nic ci to nadstawianie głowy. Kto „swoi", kto „brat", nie jest tak prosto już ustalić. Zakład, w którym znalazłem pracę, był nowy. Wybudowany od podstaw. Wiedziałem, czego tu brakuje, zorganizowałem więc POP, potem — gdy zdarzały się kradzieże — drużynę ORMO. „Co tam" — machnąłem ręką. Na kogo mam się boryć? Mogę na kilku ludzi, a porządek i robota muszą przecież być. Wkrótce z referenta ekonomicznego awansowałem na dyspozytora. I źle, bardzo nieodrobnie stało. To, co tam zastałem, na kilometr pachniało szwindlem. A teraz pilnować musiałem już własnego siedzenia. Moimi sygnałami nikt się jednak w kierownictwie nie przejął. Cóż, w większości byli to ludzie, którzy już wcześniej i gdzie indziej wspólnie pracowali. Pojechałem więc do województwa, do NIK-u; byle kontrola przedzej czy później wsadziła by za kraty mnie. A nadużycia były prymitywne: niewłaściwe naliczanie wynagrodzenia, kradzież opon, rozszabrowywanie przeznaczonych do kasacji samochodów. Poza tym kierownik w godzinach pracy najaktywniejszy był jako prezes koła łowieckiego. Kontrola potwierdziła zarzuty. Kilku kierowników zwracało niesłuszną pobrane pieniądze, polecał sekretarz POP za kombinowanie przy pracach zleconych, inni musieli się przynajmniej tłumaczyć.

Po kontroli zwołano zebranie partyjne. Od razu zorientowałem się, o co chodzi: kto dał cynk do NIK-u? Zaczęła się personalna, indywidualna analiza każdego po kolei. Gdy doszło do mnie, podniosła się wrzawa. Nie dano mi dojść do słowa. Zdemotowałem się i wyszedłem. Po powrocie poinformowano mnie, że odbyło się głosowanie i nie jestem już członkiem partii. „Proszę, towarzysze, o uzasadnienie".

Nie usłyszałem nic. Poprosiłem o protokół, ale i tam nie znalazłem na razie motywacji. Na razie. Bo później dołączono, i to niezłe: cierpi na obsesję nieuczciwości, dręczy go mania wyższości. I tak dalej. Wraz więc z pochwałą z NIK-u otrzymałem wypowiedzenie z pracy. Z całkiem porządną opinią: „W okresie zatrudnienia był pracownikiem dyscyplinowanym i sumiennym. Brał czynny udział w pracach społecznych. Z obowiązków służbowych starał się wywiązywać należycie".

Przyznam, że do następnego zakładu przyjęto mnie bez trudności. Znowu na stanowisko referenta ekonomicznego. I znowu, niestety, poleceno mi zająć się remanentem. Trzeba było bowiem dokonać ścisłej inwentaryzacji w jednym z podległych zakładów. Komisja, w której uczestniczyłem, zasiadła więc do roboty i zaczęła spisywać... z kartotek. „Ja w tym interesie uczestniczyć nie będę" — powiedziałem zastępcy dyrektora. Zmienił natychmiast, poza mną, skład komisji i zaczęliśmy spis z natury.

Dyrektorowi głównemu, który mówił do magazyniera per „Jasiu", nie spodobało się to. Jeszcze mniej zaczęło mu się podobać, gdy wyszły poważne nadużycia. Teraz już jednak nie czekałem na dokonanie znanego mi scenariusza: sam poprosiłem o zwolnienie. Miałem maturę, dyplom trzyletniego Studium Oświaty i Kultury z wynikiem dobrym, ale takie kwalifikacje okazały się Miastu niepotrzebne. Zostałem więc „wodomierzem", inkasentem rozliczającym ludność za wodę. Za tydzień osiemset złotych. Był to już rok 1976.

Wtedy pomyślałem o „prywatnej inicjatywie". Zapisalem się na trzyletnie Zaoczne Studium Prawnicze przy Zrzeszeniu Prawników Polskich w Warszawie i po trzech latach „inkasowania" otworzyłem biuro pisanie podań. Miałem już w Mieście opinię „pismaka", „kronikarza", bo rzeczywiście pisałem wszędzie: do ministrów, prokuratury, NIK-u. Nie pozwalano mi się bronić słownie, dla pisałem. Taka opinia nie jest dla człowieka — nawet takiego, który chce prowadzić biuro

pisania podań — najlepsza. Na początku szło jednak dobrze. Bardzo dobrze. Chyba za dobrze, aby mogło iść tak dalej. Wracając kiedyś od inkasa — nadal pracowałem na tym stanowisku — pośliznąłem się i zламаłem rękę. W zakładzie nie uznano tego jednak za wypadek przy pracy. Ba, za wprowadzenie kierownictwa w błąd ukarano mnie nagana. Gospodarz posesji zeznał bowiem, iż na jego podwórku nie było żadnego wypadku. „Straszyl mnie — powiedział mi potem — że odszkodowaniem w razie czego obciążą mnie; za to, że nie posypałem piaskiem".

Mój szef, zarazem szef komisji wypadkowej, a jednocześnie szef KZ-u, udowodnił mi więc, że żadnego wypadku nie było. Znowu odwołania. Po trzech rundach wygrałem. Jak Pyrrus.

— Rzeczywiście macie o sobie nieniche wyobrażenia.

— Mam. Tak postępować mógł ze mną urzędnik. Sekretarz partii nie powinien. Więc po tym zwycięstwie machnąłem skargę do KW. Chciałem być konsekwentny. Zrobiłem może głupio, ale zaufałem tym ludziom; mogli mnie wezwać, powiedzieć: napisywaliscie bzdur. Nic z tego. Skarga, której nikt nie badał, a przynajmniej nie o tym nie wiem, powędrowała do prokuratury. Jako dokument zniechęcający sekretarza! Dochodzenie objęło nie tylko mnie, ale i żonę. Wzywano ją i pytano. „Jak ma zachowywać się w domu? Czy nie zauważyła pani czegoś dziwnego w jego zachowaniu? Jaki jest dla rodziny?"

Udałem się do pierwszego sekretarza KW. Wyjaśniłem. „Przepraszam się z kierownikiem, zlikwidujcie biuro pisanie podań i przestańcie pisać, a postaram się, by do sprawy nie doszło".

Z ciężkim sercem zdejmowałem sztyl. Przeprasiłem publicznie kierownika — sekretarza. Przestałem pisać. Musiałem jednak dokończyć kilka rozpoczętych uprzednio spraw. Wszystko było ewidencjonowane, więc można było sprawdzić, że nowe nie podjąłem. Z sądu, gdzie najczęściej pisałem przez mnie ludziom podania, trafiła, wyszła jednak opinia: pisać nadal. Na pierwszej rozprawie, nim skończyłem wyjaśnienia, młoda sędzina orzekła, iż konieczne są badania psychiatryczne. „Zachodzi bowiem obawa, że podejrzany...". Podałem się. Zgodziłem się na badania, lecz wówczas okazało się, iż są one niewystarczające: niezbędna jest dłuższa obserwacja w zakładzie zamkniętym. To było gorzej niż skazanie. Zwróciłem się więc do najbliższej akademii medycznej i dobrowolnie poddałem ponownym badaniom. Trzech docentów, którzy się mną zajęli, zaczęli się na koniec śmiać: „Nieźle ktoś tam pana musi rozrabiać".

Ostatecznie sprawę umorzono. Choć nie jestem prawnikiem, do dziś zastanawia mnie jednak zwrot z sentencji wyroku: „postępowanie w stosunku do oskarżonego za czyn opisany w akcie oskarżenia warunkowo umarza, a okres próby wyznacza na lat dwa i zobowiązuje go, aby w terminie dwóch miesięcy od daty uprawomocnienia się niniejszego postanowienia wpłacił kwotę dwa tysiące złotych na rzecz PKPS". Potem zmieniono nawet postanowienie dotyczące kary pieniężnej. Był to już rok 1980.

— Więc dlatego postanowiliście się odegrać i maszyna do pisania znowu poszła w ruch!

— Niezupełnie. Nie wstąpiłem nawet do „Solidarności", choć moi dawni koledzy z pracy powiedzieli mi: „Znamy sprawę, wiemy, jak cię załatwiono, możesz do nas wrócić. Będziemy cię bronić". Prawda jest natomiast, że zwróciłem się do IX Zjazdu. Osiemnaście lat byłem w partii i chcę do niej wrócić. Opisałem swoje krzywdy. W skrócie. Bo o układach w takim jak Miasto grajdołku, mógłbym napisać książkę. Druga — jak niszczy się człowieka, który w te układy nie wchodzi. Teraz czekam na decyzję.

— Tak wszyscy szakale, hieny, tylko wy taki kryształek bez skaży, cierpiący za uczciwość.

— Przyznaję, nie jestem bez winy. Ja, zdrowy mężczyzna, przez pięć lat w ciągu ostatnich dwudziestu sześciu pozostawałem na utrzymaniu żony. Wytkłem z powodu własnej słabości. Mówiłem sobie bowiem nierzadko: nie już nie będziesz widział, niczego nie będziesz słyszał, będziesz robił swoje; niech się dzieje, co chce. Nigdy nie dotrzymywałem danego sobie słowa. Fot. GABOR LÖRINCZY

spięcia



Pracownicy wszystkich instytucji gminy Miastkowo demokratyczną uchwałą GZKiOR uzyskali przywilej kupowania mięsa i wędlin poza kolejnością. Czy w tej sytuacji nabiorą wagi rolnicze sprawy — trudno przewidzieć, ale na pewno nie stracą na wadze urzędnicy.

Tumany kurzu wdzierają się jeszcze do niedawna do Urzędu Wojewódzkiego. Co trzeba polano więc beczennym asfaltem. Urzędników, bezpyłowo zatrzymujących swe wozy przed nobliwym gmachem informujemy, iż posiadamy listę ulic, na których nie tylko kurz drażni nozdrza, ale z powodzeniem można je rozpiaszczyc, łamiąc przy okazji resory i gubiąc koła wraz z podwoziem — a nikt niczego nie leje.

Poczta rozszerzyła wachlarz usług, podejmując się badania stanu nerwów klienteli. Aż trzech dni trzeba było doręczycielowi, by oddać Łomżańskie telegramy. Gdy chciała ustalić przyczynę opóźnienia i treść korespondencji, przełożeni listonosza trzymali język za zębami. Czyżby ich długość zdradzała mrówkojadów?

Dwa pięknie rozróżnione drzewa przy szczytowej ścianie bloku 55 B przy ul. Armii Czerwonej w Łomży zamieniono bez zezwolenia oka w smętne kikuty. Nie pierwszy to przypadek niszczenia zieleni, pozostający w tym mieście bez echa, które za to niestrudzenie powtarza nazwę jednostki odpowiedzialnej za miejską przyrodę: Łomżyński Zakład Zieleni — leni-leri-leri.

Odnawiony balagan wprowadza składnica maszyn rolniczych w Szepietowie, unieważniając co pewien czas listy rolników oczekujących w kolejce na sprzęt. Ma za sobą argument: konieczna jest weryfikacja w urzędach gminnych. Chłopów już szlag zaczyna trafiać, bo co odsiedzą swoje na jednej łacie, to podsuwa się im nowa, jakby rzeczywiście się im nudziło.

Trudno już znaleźć cokolwiek do reklamowania — tylko Mini-Bar w Łomży jeszcze to potrafi. Poleca mianowicie: placik z ziemi. Receptura według najnowszych doświadczeń z upuszczeniem ciasta na ziemi i natychmiastowym wrzuceniem go na patelnię. Tego smaku nie zaznasz nigdzie! Jest i wysokokwalifikowana obsługa, dyskretnie tolerująca chwile złego nastroju klienteli w rodzaju: „Może pani sama spróbuje tego placika?" Nie spróbuje nie dlatego, że nie lubi chrząszczczenia zębami, ale — nie chce obżadać konsumenta.

Mimo wcześniejszej zapowiedzi Henryk Milewski nie przybył na sesję GRN w Grajewie, tłumacząc się brakiem paliwa do samochodu. Radnych to nie zraziło — ogłosili zbiórke pieniędzy na zakup rozkładu jazdy PKP i PKS dla dyrektora jednego z znacznych wydziałów Urzędu Wojewódzkiego.

Kosmetyka bizonowego bydłęcia obejmuje: „Wprowadzenie kombajna na stanowisko myjce — 10 godzin; mycie — 8,4 godziny; czyszczenie pozostałości po żniwach — 8,5 godziny; mycie części po demontażu — 13 godzin; konserwacja — 8 godzin". My się nie dziwimy, że w POM-ie Czyżew (patrz faktura nr 29 BN z 6 lipca 1981 r.) tak pracownicy pucuje się kombajny żniwne. Gdyby nam — tak jak mechanikom — za podobne pleszczoły płacono po 112 złotych za godzinę też stawilibyśmy na głowie, żeby trwało to jak najdłużej.

9

KONTAKTY
1. XI.1981



tajemnica siódemki

W skoszarowanym, matematycznym świecie cyfra siedem zajmuje właściwe sobie miejsce w uporządkowanym szeregu, nie zwracając na siebie żadnej specjalnej uwagi. Jeśli jednak wychynąć poza jego granice, to bez trudu można zauważyć, że człowiek w widzeniu i dokumentowaniu otaczającej go rzeczywistości wyraźnie faworyzuje siódmkę.

Tak jest od zamierzchłych dni. Dla starożytnych siódemka jawiła się jako liczba święta, symbol czegoś skończonego i doskonałego. Świętość nad świętościami, czyli najwyższy synklit w Babilonie, liczył sobie siedmiu bogów, a każdy z nich przypisany został jednemu z siedmiu ciał niebieskich. A przecież nic nie stało na przeszkodzie, by tych bóstw wymyśleć więcej, albo ograniczyć ich liczbę na przykład do trzech.

W Biblii, kwintesencji pradawnych ludzkich dociekań, siódemka również obrosła w magię jako uosobienie harmonii, synonim kresu. Obserwacje biblijne spod znaku siódemki zakorzeniły się i w naszej tradycji. Dość przypomnieć siedem dni tworzenia świata, albo siedem grzechów głównych, siedem lat tłustych i siedem chudych, siedmiomniowe cykle biblijnych potopów.

Szczególnie upodobili sobie tę cyfrę założyciele miast. Siódemka stała na straży pomyślności nie tylko znanego powszechnie Rzymu. Na siedmiu pagórkach posadowiono Moskwę, Pragę, Kijów, Konstantynopol, Addis-Abebę, a także stolicę dalekiego Ekwadoru — Qito. Wielu

nazwom geograficznym patronuje także siódemka. Ot choćby Siedmiogród, Siemipalański, pasmo górskie w Chinach Yeti-kyz (siedem dziewcz) i inne. Nasza codzienność obdarza szczęśliwością siódmkę tolotkową.

Uczni zastanawiali się, czy to tylko zwykły przypadek, czy też taką samą funkcję mogłaby pełnić inna cyfra? Okazuje się, że nie. Obdarzenie zaufaniem siódemki ma związek z siedmiomniową fazą Księżyca, a nasi przodkowie mieli znakomicie wygimnastykowane zdolności spostrzegawcze. Rozpatrywanie natomiast zjawiska w kategoriach psychologicznych wnosi już całkowitą jasność. Jak dokumentują współczesne badania siódemka jest cyfrą, która charakteryzuje pewne maksimum dla człowieka, kiedy w sposób naturalny zapamiętuje on sygnały-symbole.

Zasadę tę intuicyjnie stosuje się w wielu dziedzinach od dawna. Najłatwiej sprawdza się w technice. Czynności przy obsłudze najbardziej skomplikowanych urządzeń, nawet tych wymagających wysokokwalifikowanych kadr mieszczą się w granicach siódemki, z dopuszczalną tolerancją — plus, minus 2. Każde minimalne nawet przekroczenie tego kręgu powoduje często postoje w pracy, awarie maszyny.

Jeszcze nie tak dawno próbowano uszczęśliwić kierowców samochodem, którego obsługa była dziecinnie prosta. Na desce rozdzielczej znajdowała się jedna-jedyna dźwignia; przesuwanie dźwigni do góry — maksymalna szybkość, w

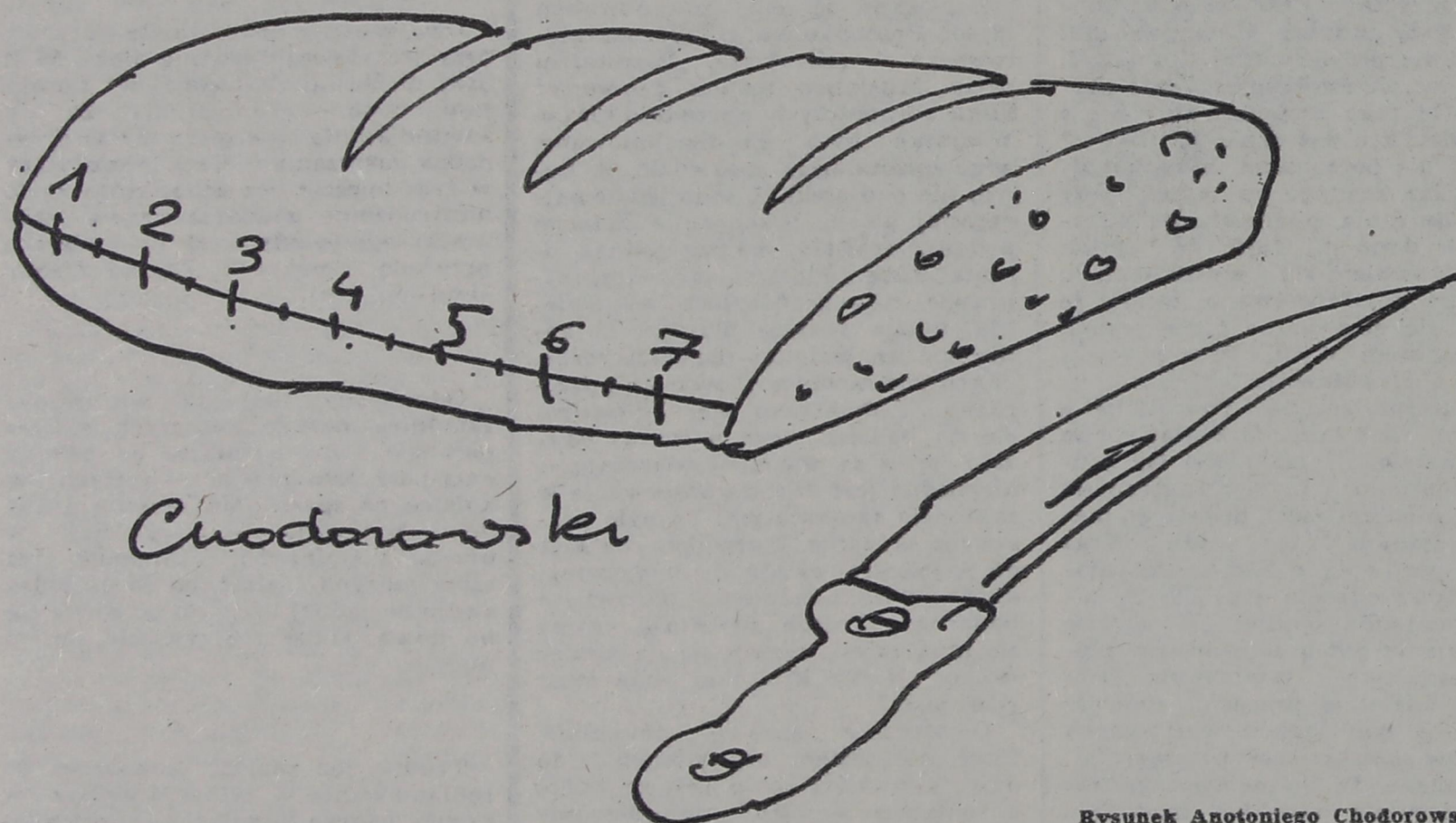
dół — hamowanie i postój, w lewo lub w prawo — odpowiednie skrety. Ale ten typ samochodu, jak żaden, nazbyt często brał udział w kolizjach drogowych. Jak się okazało, monotonia tych czynności bardzo usypiała czujność i rozpraszała uwagę kierowcy.

W innych formach artystycznych, na przykład, w architekturze ilość elementów tworzących bryłę, by nie zagubić poczucia rytmu i harmonii konstrukcji, również nie powinna przekraczać granicy siódemki. Tą prawidłowością, świadomie lub nie, posługiwali się projektanci najznamienszych budowli.

W strukturze kierowania, dowodzenia, posługiwanie się siódmką przynosiło dobre efekty. Historycy dowodzą, że właśnie na takiej siódmkowej zasadzie opierała się organizacja armii napoleońskiej. Napoleonowi było bezpośrednio podporządkowanych siedmiu marszałków, każdemu z nich — siedmiu generałów, itd. po linii zstępującej. Tym faktem tłumaczy niektórzy wyjątkową mobilność jego wojsk. Znał i stosował tę zasadę w wojennej praktyce Stalin. — Jak może — stwierdzał — nawet dobry dowódca komenderować trzydziestoma podwładnymi. Z czasów rzymskich wiadomo przecież, że jeden człowiek efektywnie dowodził tylko pięcioma.

Nasze polskie instytucje zarządzające, ministerstwa, zjednoczenia długo przyszłoby wylizywać. A zasadę siódemki przestrzegają tylko pokoje biurowe, gdzie siedem panienek znęca się nad jedną sprawą przez siedem albo i dłuższy dni tygodnia. Nic więc dziwnego, że choć pracowaliśmy do siódmych potów, siódme niebo zamknęło się przed nami na siedem pieczęci.

ALICJA ŚREDNICKA



Rysunek Anotoniego Chodorowskiego

NA PIĘCIOLINII

unikać Cohena

Do Polski miał ostatnio przyjechać Leonard Cohen: amerykański poeta, kompozytor, pieśniarz, twórca takich ballad, jak „Suzan” czy „Gypsy Wife”. Miał się zjawić na gdańskim „Festiwalu Piosenki Prawdziwej”, w której wystąpiła cała czołówka naszych zbuntowanych bardów: Zembaty, Pietrzak, Wójtowicz, Kaczmarski i kilkunastu innych. Cohen czekał w Atenach na wizę polską i dostarczono mu ją, tyle że na dwie godziny przed koncertem. Nawet najszybszy odrzutowiec nie byłby w stanie dostarczyć Cohena na gdańską estradę. Po raz któryś z rzędu publiczność poniosła niepowetowaną stratę, zaś działanie to, jako żywo, przypominało mi tzw. okres miniony. Kto i dlaczego bał się Cohena śpiewającego o miłości, skrzywdzonych przez los ludziach, wyrzutekach społeczeństwa, prostytutkach i zdradzonych mężach? Trudno dociec. Bano się również Boba Dylana i Krisa Kristoffersona, dlatego nie było gotowych do opłacenia stawki ubezpieczeniowej za sprzęt wartości półtora miliona dolarów. Dzięki ta-

kiej polityce mamy u nas na koncertach „Goombay Dance Band” oraz „Boney M.”, dla których można znaleźć dwa helikoptery, bowiem Murzyni nie lubią samochodów.

Uznawany od dawna za jednego z największych współczesnych poetów amerykańskich, Leonard Cohen był niebezpieczny dla poprzedniej ekipy rządzącej, na czele z prezesem Szczepańskim. Przez dłuższy czas nie wolno było puszczać jego piosenek w radio, z powodu — jakoby — pornograficznych tekstów. Znam dobrze śpiewane teksty Cohena i, po pierwsze, mniej tam pornografii niż w prywatnych zaskarach rzeczonego prezesa, po drugie — przy powszechnej i doskonałej znajomości języka amerykańskiego wśród naszych słuchaczy, rzeczywiście mogli się oni czuć zgorszeni, szczególnie po jednorazowym wysłuchaniu ballady, śpiewanej w dodatku w slangu. Sprawa natomiast była prosta: Cohena odkrył dla Polski i lansował namierźnie Maciej Zembaty, człowiek, który w pewnym momencie stał się niewygodny dla władz i cenzury. Zembaty nie Cohen, ale tnać Zembatego — wyróżniło wszystko, co było z nim w jakiś sposób związane, a więc i Bogu ducha winnego Cohena. Teraz jego pieśni latają w radiu, ale Cohen nie może przylecieć do Polski, bo chytruski wizę mu dają nie wtedy, kiedy potrzeba.

Recenzje z gdańskiego „Festiwalu Piosenki Prawdziwej” były bardzo różne: w zależności od tego,

jaka gazeta je drukowała: od niezbyt entuzjastycznych w tygodniku „Solidarność” po napaściwe, szkalujące, w stylu „Rzeczywistości”. Charakter ponad połowy wykonywanych tam utworów był jednoznaczny i — jednym słowem — podważał. W kontekście tym dziwić musiał fakt niedopuszczenia przez cenzurę zaledwie 10 procent proponowanych tekstów, a z estrady rzeczywicie się lało. Tak więc jeszcze dziwniejszy jest lęk przed Cohenem, który do Polski nie ma, jest uważany za kontestatora, pisze poezję, wspinał muzykę i sympatycznie, zwiśowo nieco, śpiewa.

Działanie z wizą jest działaniem prymitywnym i rozszyfrować je potrafi nawet sztubak. Bo niby tak: przecież nie odmówiliśmy wjazdu do Polski, a tylko nastąpiła mała blokada w czasie. Mógł przecież przyjechać później. Po to chyba tylko, żeby zwiędzić gdańską Starówkę.

Nie tak dawno temu pisałem o planowanym zamachu na życie jednego z największych festiwalu jazzowych w Europie, warszawski „Jazz Jamboree”. Na szczęście do tego nie doszło, ale aby publiczności w głowach się nie poprzewracało, udaremniłono jej wysłuchanie Cohena, Dylana i Kristoffersona, o których koncerty bije się wiele krajów na świecie. Oplata — tak na marginesie — miała być śmiesznie niska. Do zobaczenia na występach Urszuli Sipińskiej i Waldemara Koconia!

JAN JANUSZEK

GENIUS LOCI

rozmyślania muzealne

Diabelskie osobliwości powoli wypełniają lokal redakcyjny i, nie wiem czemu, uśmiechają się szyderczo. Owszem, idea zająca, tylko że w naszych czasach i diablów i diabelskich świadectw jest niewiele. Podobno trafiają się jeszcze diabły wodne w Pilicy, natomiast ostatniego smoka widziano w 1937 pod Pułtuskim, jak notuje łódzki etnolog, Bohdan Baranowski. Smok jednak rozwiązał w powietrzu i świadectwa materialnego nie zostawił. Gdyby był przy tym Gabor Lőrinczy! Ale nie było... Tak więc patrzę nieco pesymistycznie na perspektywę zgromadzenia autentycznych i interesujących eksponatów. Najciekawsze okazy od dawna już zostały opisane i rozświetlone, nikt ich nie użyje. A więc lubelski błat stołu z wypaloną czarcią łapą, zwierzciadło Twardowskiego w zakryciu kościoła w Węgrowcu, różne Sady Ostateczne itd. Pewnie, gdyby tak zechciał kto, dla dobra sprawy, duszę czartu zapisać i uwierzytelnić odpis cyrografu o ofiarować muzeum, byłby to eksponat wielkiej klasy. Ale znowu: gdzie ten, za czyją duszę diabeł dałby grosz złamany?

Wszystkie te trudności każą mi przypomnieć koncepcję, którą wysunąłem w jednym z pierwszych numerów „Kontaktów”: muzeum codzienności. Zwracałem uwagę, że muzea zabijają się za najwyczerpięjszymi przedmiotami codziennego użytku, pod warunkiem, że pochodzą z przeszłości. Tylko że wtedy strasznie o nie trudno, choć nie zawsze chodzi o przeszłość bardzo daleką; wiedzą o tym realizatorzy filmów i spektakli. Podobno Iza Cywińska, realizując w Poznaniu spektakl o czerwcu 1956, natrafiła na wielkie trudności ze znalezieniem rekwizytów „z epoki”. Bo istotnie: nic dziś nie wygląda tak, jak wtedy: ani banknoty, ani ubrania, ani opakowania czegokolwiek. Szczególnie w Polsce te przemiany są częste i radykalne — np. w takiej Francji używa się banknotów z dwudziestego stulecia. Nawoływałem więc o stworzenie zbioru tego wszystkiego, co ulotne. Ale nie zostałem poparty przez nikogo, a odwrotnie — polemizowano ze mną w tym sensie, że cała Polska jest i tak muzeum absurdu. Dałem więc spokój.

No i co, proszę Państwa? Nie minęło nawet kilka miesięcy, a epoka odmieniła się znów radykalnie. Wiele artykułów powróci zapewne za jakiś czas w tradycyjnym kształcie, lecz sporo będzie miało odmienną szatę. A nieprzepracowane afisze i napisy agitacyjne? Te już, mam nadzieję, nie wrócą nigdy. Jaką szansę prześlepiliśmy, nie postaraliśmy się o dokumentację epoki, która zginęła. I już nie tego nie odmieni.

A swoją drogą — ciekawe, jakimi oczami patrzylibyśmy na wnętrze sklepu sprzed piętnastu czy sześciu lat. Pejsachówka, haut-sauterne, baujolais, chianti — ileż odmian trunków czekało na nabycie! Austriackie keczupy, wietnamskie ogorzki w dwu wersjach, krewetki, sardynki, tuńczyki, lagusty, zupy z homara i pletwy rekina, ośmiornica i muszelki, serowe ciasteczka holenderskie, oliwki, daktyle (robiłem z nich znakomite wino, były bowiem bardzo tanie), beżmierna masa towarów, oczywiście niewielka z porównaniu z innymi krajami, lecz w zestawieniu z dniem dzisiejszym — oszałamiająca. Nie mówiąc o rzeczach najwyczerpięjszych, jak czekolada, szynka, cukier...

Kilka lat temu Hamilton proponował założenie objazdowego muzeum karpia — skoro nie można go kupić i zjeść, to bodaj popatrzeć na zamrożone potrawy. Proszę sobie wyobrazić taką atrapę sklepu, z cenami naturalnie: jarzębiak — złotych sześćdziesiąt... chociaż i wtedy się narzekano, bo pieniądze nie było za wiele. Kilkanaście lat temu, na przykład, mówiono, że Gomułka miał widzenie: pojawił mu się Bierut w aureoli kiełbasy zwyczajnej po 16 złotych za kilogram. Teraz co prawda łatwo byłoby zgromadzić stosowne eksponaty naszej epoki — czyli puste półki — ale przecież takie muzeum mamy w każdym sklepie.

PIOTR KUNCEWICZ



KOMENTATOR: Teatr Naturalny Rozgłośni Polskiego Radia w Białymstoku przedstawia dramat artystyczno-perspektywiczno-optymistyczno-globalny.

MEZCZYŻNA I: Panowie z radia czy z telewizji? Z radia, no to popatrzcie, jak tu u nas jest, przyrzycie się. Wszystko mamy, jest wesoło, rośnie trawka... My też na tej trawce jesteśmy. Czego tu nie brak? Niczego! Wszystko mamy!

REPORTER: Pan też jest tego samego zdania?

MEZCZYŻNA II: Jak dla mnie, to jest obojętne. Dla mnie jest wszystko bardzo dobre. Na polu troszkę dziki dokuczają, ale niech tam rolnikom dokuczają. A nam, z przemysłu jeszcze jakoś leci. A jak potrzeba...

REPORTER: My właśnie przyjechaliliśmy, żeby zobaczyć, jak u was jest.

MEZCZYŻNA I: Bardzo dobrze! Zobaczcie, obejrzyjcie i idźcie sobie. O, to elektrownia, zobaczcie, suszarnia, proszę bardzo.

KOMENTATOR: Nooo! Powiało optymizmem! To było wreszcie to! Dwa nasze reportery radiowe przypadkiem trafili na trop sensacyjnej wprost sprawy. Nic więc dziwnego, że drzwi Urzędu Gminy zostali na oścież otwarte.

REPORTER: Panie naczelniku, nasze najserdeczniejsze uznanie! Z pierwszych obserwacji, niepełnych jeszcze...

NACZELNIK: No, przede wszystkim jestem bardzo wdzięczny, że, powiedzmy, potrafiliście docenić moją pracę jako naczelnika, i o tyle jestem wzruszony, że może jeszcze nie zrobiłem tego, co powinienem zrobić, ale swój kierunek przesunąłem, nie patrząc na jakąkolwiek politykę, tylko na ekonomię. Powołałem docenta ds. ekonomii... Mimo że kłopoty były, zgodził się przyjść do gminy, na moją wielką prośbę; zresztą, widać, że ma zapał w kierunku rolnictwa pracować, no i poza tym co mogę powiedzieć? Wy, redaktorzy, jeżdżcie, rozmawiacie z ludźmi, to słyszycie, jaka jest ocena mojej pracy właśnie...

REPORTER: Tak jest. Do usłyszenia!

KOMENTATOR: Po tych niezbędnych oficjalnych wyjaśnieniach dwa nasze reportery lotem błyskawicy zaczęli zbierać pełne garście informacji.

REPORTER: Ciasno tu u pani troszkę.

MAGAZYNIERKA: No, proszę panów, to jest „Magazyn deputatowy”!

REPORTER: Jak jest pani stanowisko?

MAGAZYNIERKA: Kierownikiem jestem, magazynierką.

REPORTER: Prawdę mówiąc, to myśmmy jeszcze takiego magazynu nigdy nie widzieli. Bo co my tu na półkach widzimy?

MAGAZYNIERKA: Mój magazyn wziął się z całego asortymentu wniosków i postulatów gminnych. Dopracowaliśmy się go na wzór innych zakładów pracy. W górnictwie mają, proszę pana, przydziały węgiel, kolejarze...

REPORTER: Deputaty?

MAGAZYNIERKA: Tak, deputaty. Kolejarze — mundury, przejazdy, plantatorzy buraków cukrowych — cukier, a plantatorzy lnu dostają plewki z lnu do karmienia trzody. Ponieważ referent w Urzędzie Miasta i Gminy takim samym jest pracownikiem, również powinien deputat dostać.

REPORTER: Ale zmagazynowane tutaj towary są szalenie różne, puste butelki, na przykład.

MAGAZYNIERKA: Te puste butelki służą do tego, że jak przyjdzie ze swojej branży pracownik skupu butelek, to potrzebuje tak samo dostać przydział.

REPORTER: Te butelki są brudne. One niezbyt nadają się.

MAGAZYNIERKA: To sobie umyje i sprzeda ich u siebie.

REPORTER: Materiały piśmienne tutaj widzę, kalkę, spinacze, pinezki, zszywki...

MAGAZYNIERKA: W Urzędzie Miasta i Gminy swego czasu zakupili — bo mieli kredyty — masę kalki maszynowej, i byłoby jej starczyło chyba na jakieś trzydzieści, pięćdziesiąt lat. Więc nadwyżkę oni przekazują do mnie, do magazynu.

REPORTER: I co pani z tym robi?

MAGAZYNIERKA: Aaaa, później, proszę pana, przechodzi z ich branży pracownik — o, widzicie, pan Zygmunt przyszedł — no i mu pro-

Docent w gminie

ponuje: pana branza to półka B, co pan sobie życzy z tej półki?

REPORTER: Pan Zygmunt jest urzędnikiem? Zobaczymy, co on brał: dwie ryzy kalki, siedemnaście pudełek spinaczy...

(Przerwywnik muzyczny przechodzi w wesoły świergot ptaków i warkot samochodów)

REPORTER: Ile razy przyjeżdżaliśmy do tego miasteczka, zawsze pan urzędował w restauracji „Podolanka”, i to o każdej porze dnia. Więc co się stało, że pan dzisiaj na rogu stoi?

BYWALEC: No, bo, zacząłem pracować. Jestem gonic międzykolejkowy. Stoję na rogu, wszystkie sklepy mam na oku i mówię ludziom, którzy w kolejce stoją, gdzie co kupić. Jedni za proszkiem stoją, drudzy za watą, to ja daję informację i jest porządek!

REPORTER: A skąd pan ma te informacje?

BYWALEC: Ja mam w hurtowni znajomych, no i mam legitymację, wyciągam...

REPORTER: Ma pan legitymację służbową? I wchodzi pan na zaplecze?

BYWALEC: Tak, oczywiście, i wiem, co jest na zapleczu, co w magazynku, wie pan.

REPORTER: Gdzie tutaj jakieś papierosy można kupić?

BYWALEC: Od dziewcząt tylko, w tamtym kiosku, proszę pana.

REPORTER: Gdzie można czystą dostać?

BYWALEC: Czystą? U dziadka zawsze.

REPORTER II: My nie bardzo wierzymy w tę pana funkcję, niech pan pokaże legitymację!

BYWALEC: Ależ proszę bardzo!

REPORTER: Wiesiek, zobacz: „Starszy gonic kolejkowy, Józef Pamiński”. Kto pana zaangażował do roli gońca?

BYWALEC: Społeczeństwo. Każdy już z daleka wołał: „Panie Józku, tego, tamtego”, rączkę dawał i wypytował.

REPORTER: Jak wysoka jest pańska pensja?

BYWALEC: Cztery koła.

REPORTER: Miesięcznie?

BYWALEC: Tygodniowo, proszę pana, tygodniowo!

(Sygnał muzyczny, hałas pracującej maszyny)

REPORTER: Czy może pan zatrzymać na chwilę to urządzenie? Co to jest takiego? Młyn? Chyba to jednak stodoła albo obora, a może chlew? Pisze: „Suszarnia chleba”.

PODSUSZACZ: Jest sprawa tego rodzaju, że ludzie wykupują w sklepach to, co się da. Zresztą, na rynku zboże jest drogie, a chleb jest tańszy, no więc rolnicy kupują bardzo dużo chleba, ze dwadzieścia, trzydzieści bochenków, przywożą, karmią świnię, konie, drób — zależy, co mają. A resztę, co zostanie i zaczyna pleśnieć, zeschnie się do tego stopnia, że już nie chce go jeść, przywozi do mnie. Ja to znowu dodatkowo jeszcze podsuszam i później w tym młynie...

REPORTER: To jest takie urządzenie ręczno-nożno-elektryczne.

PODSUSZACZ: To jest takie urządzenie, że jak jest prąd, to robi się przy pomocy prądu, a jak nie ma już prądu, wtedy już trzeba zrobić jakoś ręcznie. Wydajność jest wtedy mniejsza.

REPORTER: Te wszystkie wory są zapełnione suszem chlebowym?

PODSUSZACZ: Tak, to jest susz chlebowy. Później idzie jako składnik do paszy. Dodają jeszcze jakieś tam mączki rybne, susz z trawy, no i, oczywiście, jak gdzieś w sklepach zepsuje się wędlina, to też się ją suszy razem i dodaje.

REPORTER: Czy to jest pańska prywatna firma?

PODSUSZACZ: Nie. Kiedy suczyłem tu tytoń, to była moja własność. Teraz, po uzgodnieniu z naczelnikiem gminy i jakimś tam docentem, wystąpiliśmy z taką inicjatywą, żeby to zbierać, wykorzystać każdy kawałek chleba.

REPORTER: Każdy kłós na wagę chleba? Czy „Každy bochenek na wagę paszy”? Roboty ma pan dużo?

PODSUSZACZ: Zależy od dnia, ale nawet do pięćdziesięciu sztuk bywa dziennie. Furmanek!

(Przerwywnik muzyczny)

REPORTER: To ta sadzawka?

DYSPOZYTOR: To take bajoro, o, widzisz pan, jakie genste jest cholera! Jak smoła.

REPORTER: Ale śmierdzi!

DYSPOZYTOR: Nu, śmierdzi, a co ja zrobię? Zasadniczo to można lotruć się. Zakładam maske.

REPORTER: Przeciwigazowa?

DYSPOZYTOR: Nu, tak, bo inaczej... Słyszysz pan, jakie tu swend jest?

REPORTER: Jakie jest pana stanowisko służbowe?

DYSPOZYTOR: Ja jestem takim, nie wiem, jak to określić, dyspozytorem czy kierownikiem tego zasilania, tej energii na naszo gminę. (bulgotanie ciecchy)

REPORTER: Może pan tym boksikiem trochę nie ruszać, bo od dna idzie smród mocniejszy?

DYSPOZYTOR: Nu, a ja tu na co dzień pracuję! To miała być oczyszczalnia tych ścieków, ale

późni zaśla potrzeba, proszę pana, z tego powodu, że teraz z to energio bardzo trudno, u nas na dzień trzy-

cztery razy wylanczają, zrobić to inacy. To co? Porozmawiali paru takich, co mondrzejsi ludzie może, może przekształć na to czy jak, i mówio, że najlepsza rzecz bendzie

wwalać tu wszystkie artykuły, take dobrze gnijące, do tej wody i bendzie sie wytwarzac gaz, a my bendziem mieli zaopatrzenie na cało swoje gmine w światło. Wienc

zaczeli tu zwozić wszystkie te odpady: mleko, sery, cholera tam...

REPORTER: Ser to odpad? A co z mlekiem?

DYSPOZYTOR: Widocznie źle go robio, do sklepów nie mogo dać ni na eksport, wienc wywalajo tutaj. Z mlekiem jest tak: teraz gospodarze so nastawieni na wienkso hodowle. Ale mleczarni na miejscu

nie ma, kunwi kupić nie ma gdzie, mleko stoi, kwaśnieje mu w jakiej becce, narescie przywozi i lu go tutaj! Ja wiem, może plendziesiont, może szesdziesiont tych beczkowozu przywiozo i wylewajo.

REPORTER: A te pióra, co tam pływają? Puszk?

DYSPOZYTOR: A, to drób i inne rzeczy takie, wszystkie odpady. No i uzgodnili, że to bendzie gaz. Niedaleko jest ta siłownia, o, ten barak, nu, to jakieś tam rury przeprowadzili i wylapujo ten gaz, a te rury tam przetwarzajo. Nu, z tem to

ja panu nie wytłumace dokladnie, bo nie wiem. W puszkach jest z drobiu pasztet. Tech pudełek, cholera, to jakieś dwie tony moze wyzuczone tutaj. Przedtem bylo tak, że psuło sie luzem, a teraz psuje sie ogólnie razem i to sie przerabia na energię. I jest pozytek z tego, no.

REPORTER: Czyli gazem opala się też elektrownie. Zaraz, ciekawi mnie, co jest przy tamtym brzegu — takie żółte.

DYSPOZYTOR: Cytryny, pomarańcze, widzi pan.

REPORTER: A ja myślałem, że kaczęce!

(Sygnał muzyczny, podniosły głos komentatora)

KOMENTATOR: Każdy cud, nawet gospodarczy, da się racjonalnie i naukowo wytłumaczyć, więc nasze reportery zastukali do drzwi docenta.

REPORTER: Pan jest podobno głównym sprawcą tego wszystkiego, co się nazywa cudem gospodarczym gminy Sumowa. Pan jest docentem jakich nauk?

DOCENT: Społeczno-ekonomiczno-prawno-politycznych. Jedynym na tym terenie, habilitowanym! Przyjechałem z dużego miasteczka. Byłem wykładowcą na... uczelni wyższej. Wykładałem dwanaście przedmiotów. Przeróżnych. Z tego zakresu, co gospodarcze, wszystko jest mi nieobce.

REPORTER: Dlaczego pan tutaj przyjechał?

DOCENT: No, więc ja przez szereg lat próbowałem swoją teorię wdrożyć w życie w dużych miastach, konkretnie — w jednym du-

żym mieście, ale tak stukalem wszędzie, jak grochem o ścianę. Może nie tyle mnie lekceważono, co ta teoria nie była wygodna. No, więc poprzez znajomości trafiłem tutaj, do Sumowa. A w tej chwili nie wiem, czy w Polsce gdzieś jeszcze taka jest! Drugiej takiej, oczywiście, dobrej gminy na pewno nie ma! Więc ta teoria powstała dzieścić — może piętnaście, a może nawet więcej lat.

REPORTER: Jak jeszcze nie był pan docentem? Magistrem pan chyba wtedy był? A może w szkole średniej?

DOCENT: Nie, już chyba na uczelni. Ale teraz musimy ją ciągle unaczęśniać, no bo ona musi być aktualnie trafiająca w problemy aktualnych warunków. Siedemnasty model w tej chwili. A kto wie, ile jeszcze będzie?

REPORTER: Kiedy pan zmienił przedostatni model tej metody na ostatni?

DOCENT: Trzy miesiące temu. Ale już w ubiegłym tygodniu planowaliśmy przestawić się na jeszcze nowszą, bardziej zmodyfikowaną, wersję wersji, bo ona jest tak elastyczna jak guma.

REPORTER: Na czym ona się zasadza, z grubsza?

DOCENT: Z grubsza — na porządkowaniu spraw zasadniczych.

REPORTER: A z cieńsza?

DOCENT: No więc z cieńsza — sprawy pozostałe, jak chociażby punkt 1: ruch związkowy. Więc z tym naszym ruchem związkowym jest coś nie tak, prawda?

REPORTER: A może tak konkretnie?

DOCENT: No, więc my dopracowaliśmy się swego modelu: Branza-Autonomicznego Związku Zawodowego „Solidarność”.

REPORTER: Czy to jest zwykła fuzja?

DOCENT: Nie skądże. W tym naszym nowym związku ma prawo bytu każdy człowiek: i niepracujący, i rencista, i pracujący, i chuligan, czyli wszyscy ludzie naszej gminy.

REPORTER: Przewodniczący został wybrany tajnie i demokratycznie?

DOCENT: Tak, oczywiście. Ja nim jestem, z racji tej, że, no, tak trochę... nie chcę chwalić się.

REPORTER: A punkt 2?

DOCENT: To jest: „Uporządkowanie spraw energetyczno-surowcowo-zaopatrzeniowo-paszowych”. Cały kompleks. Wyjaśnię może krótko: u nas jest wszystko zbilansowane do deka. Mamy takie konto: winien — ma. To jest system samowystarczalny.

REPORTER: Aha! I co macie na tych kontaktach?

DOCENT: No, więc tu chodzi o bilans i równowagę. To jest zbilansowana równowaga, tak by to było można określić. Teraz punkt 3. To jest: „Właściwie ukierunkowanie działalności ludzkiej jako najważniejszego czynnika równowagi społecznej”. Więc to jest punkt bodajże najważniejszy, bo chodzi o ludzi, o nas chodzi. Więc chociażby taki prosty przykład: u nas nie ma kolejek. Czy panowie zwrócili uwagę?

REPORTER: No, kolejki są...

DOCENT: Ale jako takie. Nie ma tego, że ogony stoją po półtora kilometra. Dlaczego? Bo ci, co mają stać w kolejkach, to stoją, a ci, co mają pracować, pracują. Jedni kupują, inni roznoszą i sprawa załatwiona. W ten sposób wykorzystujemy każdy ułamek energii ludzkiej. I zdolności, oczywiście.

REPORTER: A 4 punkt jest jakiś?

DOCENT: Jest. „Nowy system pracy”. To sprawa bardzo ważna. Musimy po prostu przeskoczyć próg świadomości ludzkiej. W tym systemie pracy.

REPORTER: A na czym on, z grubsza, będzie polegał?

DOCENT: No, więc tu chodzi o to, żeby jakoś umysły ludzkie, energię, pomysły, kierować na odpowiednie tory, nadać im odpowiedni kierunek. Włożyć i zamknąć w odpowiednie koło.

REPORTER: A konkretnie?

DOCENT: Po prostu ludzie zaczynają za dużo myśleć. Ze myślą, to dobrze, ale trzeba: to wykorzystywać racjonalnie. Weźmy chociażby wolne soboty. Jak spowodować, żeby ludzie nie chcieli wolnych sobót? Żeby w ich świadomości było?

wkorzone, white, wkłpane, że nie chcą wolnej soboty, lecz pracy. Niedziela to jest dzień wolny, sobota z jakiej racji?

ANDRZEJ BARTOSZ

opracowanie



BYŁO NIE BYŁO

Do niedawna najważniejsze w Polsce były inauguracje. To, jak do nich dochodziło i co działo się potem, było już mniej ważne. Obserwowane przez zwykłych ludzi nie budziło niczych prawie emocji. Szczególnie dotkliwie plaga ta dała się we znaki gospodarce, kiedy to otwarta z pompą fabryka niczego jeszcze produkować nie mogła, albo gdy kieszenie budowlanych wypychały grube premie za domy, w których przez długie miesiące nikt nie mógł zamieszkać. Podobna pozoroność dotykała także życia artystycznego i kulturalnego, szczególnie tam, gdzie zwyczajowo nie rozpoczynały następnego sezonu teatru i filharmonii, bo ich po prostu nie było, zaś wiara w kulturotwórczą rolę domów, ośrodków i klubów kultury brukowała nudne piekło kolejnego roku działalności kulturalnej. Prześcigano się więc w „rozmachu i wykwinie” uroczystości inauguracyjnych.

Mieliśmy i w Łomży okres takiego szczytowania, za panowania na Wydziale Kultury i Sztuki pewnej damy, przybyłej za wysoką protekcją z dalekiego Piotrkowa Trybunalskiego. Imprezy te były w one czasy takie, że mógł stawać nie tylko wybranemu gronu robotników kultury zaproszonych na fetę, ale nawet samemu wojewódzkim i centralnym prominentom, bywałym przecie tu i ówdzie. Parafrazujać Gałczyńskiego można by to opisać:

*Były stroje, order i muzyka
I stukot tajny szufla*

*A diabyły w sercu swym złym, bo
niedobrym,*

Rozpatrywały kulturalny problem.

Dzisiaj nic z tego. Kto wie, czy nie wprost przeciwnie, mianowicie pod przymrużonym okiem tzw. szczebla, kropidło i woda święcona lub co najmniej referat na temat roli cudowności w pracy frontu kultury. A może się mylę, może nie będzie tak źle jakby świadczył o tym wyraz twarzy ministra Józefa Tejchmy w telewizyjnym okienku podczas wywiadu inauguracyjnego, jak się domyślam, bieżący sezon kultury i sztuki. Jedno, podstawowe zadanie czeka wszystkich „kulturników” w miesiącach i latach najbliższych — utrzymać to co jest, powstrzymać dyktando kultury przed dalszą degradacją. Cieszy, że myśli ta płynie „od góry”, oby tylko dotarła „na dół”.

Łomżyńskie wejście w nowy sezon najwyraźniej akcentuje Biuro Wystaw Artystycznych. Głównie regularnością prezentowanych wy-

blada dama kultury

staw, co samo w sobie jest już pewną wartością. Nie chcę wchodzić na działkę Juliusza Świrędo w „Kontaktach”, który dość pilnie odnotowuje działalność tej galerii, ale nie mogę powstrzymać się od powtórzenia opinii któregoś z gości na otwarcie wystawy obrazów Andrzeja Szufarskiego: „Popatrzcie, to jednak wystawa malarstwa a nie malowania”. Zgadza się ja, również zaskoczony byłem malarskością i bogactwem malarstwa Szufarskiego. A swoją drogą, przytoczony sąd zdaje się poświadczać zarówno fakt istnienia twórców, jak i kręgu odbiorców plastyki, a także fakt funkcjonowania galerii w organizmie miasta.

Wystartowała, do piątego sezonu, Łomżyńska Orkiestra Kameralna. Inauguracyjny koncert brzmiał bardzo jeszcze wakacyjnie. Może październik będzie łaskawszy dla muzyki.

Wielka to rzadkość — książka łomżyńskiego autora. Janusz Berner, choć urodzony w Suwalskiem, swoje dotychczasowe życie zawodowe związał w województwie łomżyńskim. Do niedawna rozważania takie nie miałyby sensu, gdyż wszystkie miejsca, o których piszę, znajdowały się na Białostocczyźnie, ale dzisiaj — co innego. A ziemia to piękna, i — jak powiadają w kraju — sprzyjająca sztukom pięknym. Przez długie lata, niestety, jedynie krajobrazowo. Utalentowani artystycznie ludzie działali tu w roz-

proszniu, nie rozpieszczani pomocą czy ułatwieniami. Nie jest to jednak temat na felieton. Wiemy, że wymagałby solidnych badań i piór odważnych, aby oddać przyczyny i istotę polityki zapóźniania rozwoju tej ziemi. Dość, że Berner należy do grona tych nielicznych, którym owa polityka nie odebrała całkiem chęci uprawiania twórczości. Warto to podkreślić także dlatego, że o ile talenty muzyczne otrzymały wreszcie komplet odpowiednich szkół w kilku miastach i Białymstoku, a utalentowani plastycznie z powodzeniem szukali dróg do uczelni w całym kraju, o tyle opanowani literackimi namietnościami nie znajdowali oparcia w żadnym czasopiśmie, wydawnictwie czy choćby Związku Literatów, którego oddziału nie dorobił się — jako jedyne miasto wśród dawnych województw — Białystok.

Myślę, że to dostatecznie tłumaczy stosunkowo późne debiuty książkowe kilku autorów żyjących tutaj. Szczególnie ważne jest to w przypadku poetów. A do nich należy Janusz Berner. Jego tomik, opublikowany przez Młodzieżową Agencję Wydawniczą nosił tytuł „Gliniany płomień”. Zawiera wiersze, jak się domyślam, z wielu lat (kilka nawet z arkusza poetyckiego wydanego w 1973 roku), co jednak nie działa przeciwko autorowi, który ustrzegł się debiutanckiej pychy chcąc pokazać światu wszystko, co jako tak nadejść się do druku. Więcej na-

wet, autor dość wyraźnie pragnie zaznaczyć własny ton w odpowiednim układzie, kolejności i sekwencji wierszy. „Gliniany płomień” (tytuł jednego z wierszy oddany całemu tomikowi jest, jak to często bywa, bardzo słabo programowy) zdominowany został przez tonację karmalną, ale o tym rodzaju intymności, która ociera się niekiedy o ekshibicję. I byłaby to skłonność banalna przez swoją powszechność, w sztuce współczesnej, gdyby nie wyraźne szukanie obiektywizacji zapisanych doznań, wspomnień czy refleksji. Nie jest to przy tym szukanie odniesienia do tych czy innych, utrwalonych już we współczesnej sztuce tendencji, lecz wobec zjawisk podstawowych, odwiecznych. Raz jest to relacja istnienia człowieka do istnienia krajobrazu („Wiatr”, „Akwarela bez podpisu”), raz próba przeciwna antropomorfizacji (krajobrazowanie, pejzażowanie człowieka — chciało by się powiedzieć), a kiedy indziej wyraz śród ludzkich związków i kondycji bytowania. Wśród tych ostatnich znajdują się wiersze ocierające się o myślową potoczność.

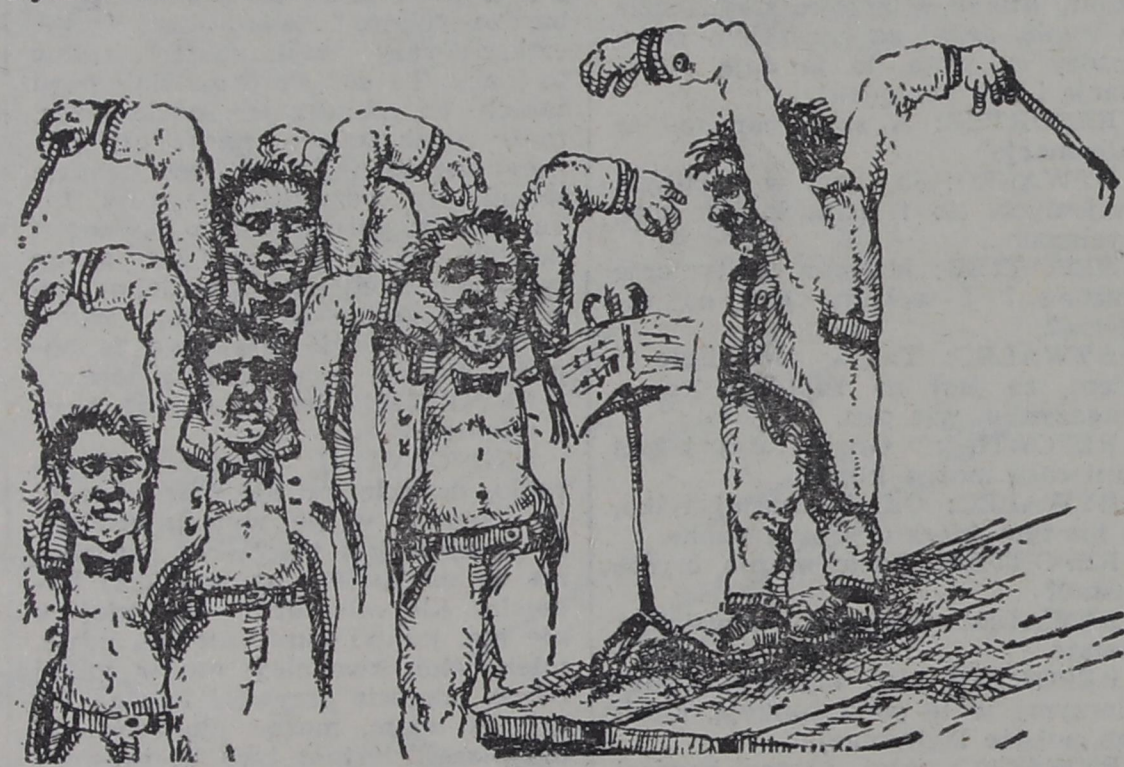
Interesująca jest jednak w wielu wierszach czytelność zapisanego w nich krajobrazu realnego; tego w którym żyje nadawca obrazów i podmiot. Jest to w moim przekonaniu właściwość fundująca prawdziwość tej poezji. Inną sprawą jest jakość estetyczna i psychiczna, jaką autor lokuje w wierszach. Mnie, przynajmniej, znużyła trochę pewna schematyczność, „nieuchronność” następowania smutnych puent, a także medyczny, anatomiczny sztafaż niektórych utworów.

Powodzenie osiąga Berner, kiedy pisze wiersze z niecodziennego powodu (tu bliski bywa Przybosiowskiemu olśnieniu), zaskoczony oczywistością zjawiska czy prawdy. Nie jest poetyckim skrybą wszelkich okazji, ale owa niewykła przyczyna, w trakcie pisania, nie przenosi się do wiersza — pozostaje na zewnątrz, a wiersz jest tylko wskazaniem drogi do niej. Trochę jaśniejszej od osaczającej nas szarości gasnącego świata.

No więc jak? Zaczął się już ten sezon? A musi się zaczynać? Przecież on trwa. Biedny, rachityczny, w nieregularnych przypływach książek, wydunających się i z nagłą zapełnionych salach teatrów i filharmonii, ale jest i cieszy nie tylko deportacją (to nie, że do stolicy) różnych Strasznych Błędnych Dam Kultury.

ANDRZEJ JASION

Rysunek Antoniego Kowalskiego



Z doktorem EUGENIUSZEM RUŚKOWSKIM, wicedyrektorem Instytutu Prawno-Administracyjnego Filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku, o reformie samorządu terytorialnego, uspołecznieniu i decentralizacji władzy rozmawia Danna Wroniszewska.

— Od pewnego czasu postuluje się konieczność jeszcze jednej reformy samorządu terytorialnego. Odnoszę jednak wrażenie, że dyskutując o niej nie wszyscy mówią o tym samym samorządzie.

Eugeniusz Ruśkowski: — Istotnie. Niektórzy mają na myśli reaktywowanie organów samorządowych o takim kształcie, w jakim istniały w Polsce międzywojennej i w jakim funkcjonują w większości krajów kapitalistycznych obecnie, tzn. powołanie w terenie organów samorządowych obok organów administracji państwowej, czyli o dualizmie władzy. Inni natomiast chcą doskonalić obecny system rad narodowych — jednolitych organów władzy i samorządu terytorialnego.

— A Pańska opinia?

E.R.: — Nie możemy przyjmować kapitalistycznego modelu chociażby dlatego, że dzisiaj w większości tych krajów mówi się o głębokim kryzysie samorządu terytorialnego. Wiąże się to z brakiem środków finansowych; słabymi kadrami; przerzucaniem przez państwo na samorząd nowych zadań, bez należytej rekompensaty finansowej; pogłębiającą się zależnością samorządu od władz państwowych. Nawiązaniem byłoby sądzić, że uda się nam przescheczyć ten model bez jego mankamentów. Jestem więc zwolennikiem reformowania istniejącego systemu rad narodowych. Mimo licznych i uzasadnionych głosów krytycznych pod ich adresem są one społecznie akceptowane i mają szansę rzeczywistej realizacji interesów społeczeństwa.

PUNKT WIDZENIA

źródło
cnót
publicznych

— W jakim kierunku powinno pójść owo doskonalenie?

E.R.: — Znakomity polityk i znawca demokracji Alexis de Tocqueville napisał w I połowie XIX wieku, że społeczeństwa, których nie interesują losy ziemi, na której żyją i zachodzące wokół nich sprawy; które ich bieg oddają w ręce wszechpotężnego rządu, muszą zmienić swoje prawa i obyczaje lub zginać, ponieważ wyszło w nich źródło cnót publicznych. Trudno zaprzeczyć, że rozwój samorządności terytorialnej prowadzi do pożądanej demokratyzacji systemu polityczno-społecznego.

— Zapewniając społeczeństwu rzeczywisty wpływ na rozwiązywanie jego spraw za pośrednictwem rad narodowych?

E.R.: — Tak. Ten proces zaczyna się modnie określać „uspołecznianiem władzy”. Dotychczasowe rozwiązania umożliwiały dominację administracji nad radami narodowymi oraz władzy centralnej nad terenową. Nie zawierały też wystarczających gwarancji samodzielnosci rad, znacznie ograniczały ich kompetencje. Te mechanizmy sprzyjały alienacji i prywatyzacji władzy oraz obojętności społeczności lokalnych na rozwiązywanie ich własnych spraw. Potrzeba tej

reformy wynika również z konieczności harmonizowania systemu społecznego. W parze z rozwojem samorządu przedsiębiorstw, pracowności itp. muszą iść analogiczne zmiany w samorządach lokalnych. Z systemem społecznym, tak jak z samochodem — aby dobrze i pewnie jechał wszystkie koła muszą być tej samej marki i nie można wcisnąć do „malucha” silnika z mercedesa.

— Niektórzy widzą w reformie samorządu terytorialnego próbę przejęcia władzy, a nawet zamach na socjalizm w Polsce.

E.R.: — Za potrzebą tej reformy wypowiedział się IX Zjazd PZPR. Jednak uchwała zjazdowa jest w tym przedmiocie bardzo ogólna. W lipcu br. przedstawiono do publicznej dyskusji założenia do projektu ustawy o radach narodowych. Przewiduje ona wiele nowych rozwiązań, które oceniam pozytywnie, jak np. podział zadań rad na lokalne i ogólnopolskie, pewne gwarancje samodzielnosci i większe uprawnienia w powoływaniu i odwoływaniu terenowych organów administracji. Te założenia zawierają jednak także poważne niekonsekwencje, które stawiają pod znakiem zapytania pożądane kierunki reformy. Mam tu na myśli chociażby propozycję utrzymania hierarchicznej struktury planów społeczno-gospodarczych i budżetów zbiorczych. Jej realizacja musiałaby doprowadzić do nakazowego zarządzania radami przez administrację centralną.

— Można się więc domyślać, że nie będzie to reforma zbyt rewolucyjna?

E.R.: — Raczej mocno umiarkowana, mimo iż uwagi i postulaty wielu środowisk naukowych idą w kierunku głębszych zmian.

— Jakich niewątpliwych pozytywnych możemy oczekiwać nawet po tej umiarkowanej reformie?

E.R.: — Przede wszystkim wspomnianego już uspołecznienia władzy lokalnej tzn. faktycznego wpływu społeczeństwa na jej działalność. Powinno się to przejawiać m.in. w umożliwieniu autentycznych wyborów radnych, a w razie potrzeby — ich odwoływania. Oczywiście, w demokratyzowanych wyborach wielu dotychczasowych radnych „przepadnie”. Wyniki wyborów mogą też się okazać tu i ówdzie przypadkowe: czasem zadecydują zwykłe urazy animozje czy ambicje. W dalszej perspektywie jednak do władz samorządu terytorialnego będą z pewnością wybierane te osoby, które zechcą i potrafią właściwie prezentować interesy swoich wyborców. Reforma winna też umożliwić radom wybór i odwoływanie funkcjonariuszy organów administracji terenowej oraz wprowadzić mechanizm prostej i bezpośredniej zależności między postawą społeczności lokalnych, ich zaradnością i ofiarnością a ich sytuacją społeczno-gospodarczą. Takie premiowanie zdroworozsądkowego myślenia i działania zachęcałoby je do większej aktywności w rozwiązywaniu lokalnych problemów.

Drugim kierunkiem reformy powinna być znaczna decentralizacja władzy, którą można osiągnąć poprzez przekazanie odpowiednich koncepcji radom narodowym oraz ograniczenie ingerencji organów wyższego szczebla do przypadków i form przewidzianych przepisami prawa. Decentralizacja, zapewniając dużą samodzielność działania radom narodowym winna jednocześnie zagwarantować ją odpowiednimi środkami prawnymi, finansowymi i ekonomicznymi. Bez tego samodzielnosc rad narodowych może się bowiem okazać jedynie pustym hasłem propagandowym.

— Dziękuję za rozmowę.



Ziemię otrzymywali wszyscy. Ci mieli pierwszeństwo do gospodarstw, którzy zostawili własne za Bugiem, i frontowcy. Przyjechał też mój wujek z frontu, ten, o którym wyczytałem w gazecie „Pancerni”, że został odznaczony medalem. Przybył zaradzić, w pomysłach szyneli i pogniecionej czapce-rogiatwyce. Popatrzył na mnie i powiedział: — To ty jesteś! Wiesz, jak dostałem list od ciebie, to zdawało się, żeś mi bliźniaka stał. Wot i armii już zostawim, bierem się za robotę. Ty, Maryska, nie bieduj. Sudził się już nie bendziem. Teraz insza jest władza, a i z wojska ja rozumu nabraw. Ty, Edzka, tako i podobny do Sosnowskiego. Ty ważniaka tu. Ja słyszał, co ty tu w organizacji działajesz. Także ty, jak i ojciec twój. On też działaczem bywysz, a potem widzisz...

Nim wujek wyjechał, długo jeszcze u nas przebywał. W okolicznych wsiach szukał sobie wolnego domu z ziemią. Znalazł w Silnowie, tuż koło jeziora. Strasznie cieszył się z otrzymanej ziemi i domku z dobytkiem. Pojechał, a ja mu pilnowałem jego własności. Pomagali mi koledzy z organizacji. Matka tylko była z tego niezadowolona. Mawiała często: — On ci wszczępił nienawiściu w życiu. A jak bendzie chciał, to co zaszkołdzi, bo ty szlachecka rodzina. Nasza herba: powalona polana. Muszą nalać sobia trocha garielki, bo i smutna słuchać, i gadania duża.

Wujek słuchał i dokładał co nieco o mnie. Takie poniżenie przeżyłem, brak czułości rodzicielskiej, a tu dowiaduję się, że w mojej rodzinie byli wielcy hrabiowie po kądzieli, rodem z Francji! Aż wierzyć mi się nie chce. Tam, w Drechłowcach, dziadek i babcia czasem po francusku gadali między sobą, bym nie rozumiał, ale ja tym się nie przejmowałem. Po co teraz mi wiedzieć, kto i skąd ja, kiedy dzisiaj modne jest być chłopem i robotnikiem. Bo do nich władza należy.

W 1946 r. na żniwach poznałem w PGR-ze dziewczynę z którą miałem zamiar chodzić. Koleżanki opowiadały, jaka to ona cnotliwa, a kawaleria nie ma, bo pracował w mleczarni i utopił się w maślanie. Nie rozumiałem żartu, a one naigrywały się ze mnie. Nigdy w swym życiu nie miałem dziewczyny i nigdy nie było zbliżeń. Wychowano mnie wzorowo pod tym względem, no i do tego wstydziłem się strasznie. Raz, pamiętam, przyszedłem późną jesienią do wykopków. Była niedziela. Panna zaprosiła mnie do siebie. Dziewczyny mieszkwały razem. Przygotowały dobry obiad. Jak na umówiony znak — dziewczyny opuściły pokój, a ta zabrała się do pieścizot. Ja nie umiałem, wrywałem się od niej.

— Połóż się trochę przy mnie. Uspokój się, to nie straszne — mówiła.

I tak pieściła mnie jak lalczkę. Kiedy wypilem kiellisk wódki, nabrałem chętki i odwagi. Wtedy przyszło do zbliżenia między nami. Trochę po wszystkim wstydziłem się, ale widzę, że dziewczyna jest zadowolona, więc pomału zacząłem czuć pewną satysfakcję, że jej krzywdy nie zrobiłem, tylko dobry uczynek. Doszło do tego, że po pewnym czasie zakochałem się w niej na umór. Kiedy ja do niej w zaloty, ona na to: — Stop, Edziu! Ty moim mężem nie będziesz.

— Dlaczego?
— Bo ja byłem i jestem prostytutką. Wyjadę niedługo na zarobek do miasta. Zresztą jestem starsza od ciebie o kilka ładnych lat. Młodsza od siebie znajdziesz.

Tęskniłem za nią dość długo. Potem zniknęła mi z oczu. Matka strasznie cieszyła się z tego, że już kogucik usiadł na miejscu.

Poszedłem do wojska. Jak to w wojsku, miałem różne zadania do wykonania. Tak więc dostałem się za granicę i pracowałem w kopalni we Francji jako robotnik dołowy. Tam werbowałem górników do Polski. Uświadałem ich, by wracali do kraju. Szadzono ze mnie, że namawiam innych, a sam z Polski uciekłem. Czułem się jak zdrajca. Znosiłem upokorzenia i obelgi od swych rodaków. Ale jedno wiedziałem, że misję muszę wykonać: zwerbować jak najwięcej górników. Jeździłem po okolicznych kopalniach i organizowałem zebrania.

Bardzo często przychodziłem późno w noc. Po zebraniu w jakiejś kopalni zmykałem szybko rowerem, by któryś z kapusiów nie donosił władzom francuskim o moich eskapadach. A Francja broniła wyjazdów Polakom do kraju. Byli to przeważnie emigranci, którzy za sanacji po-

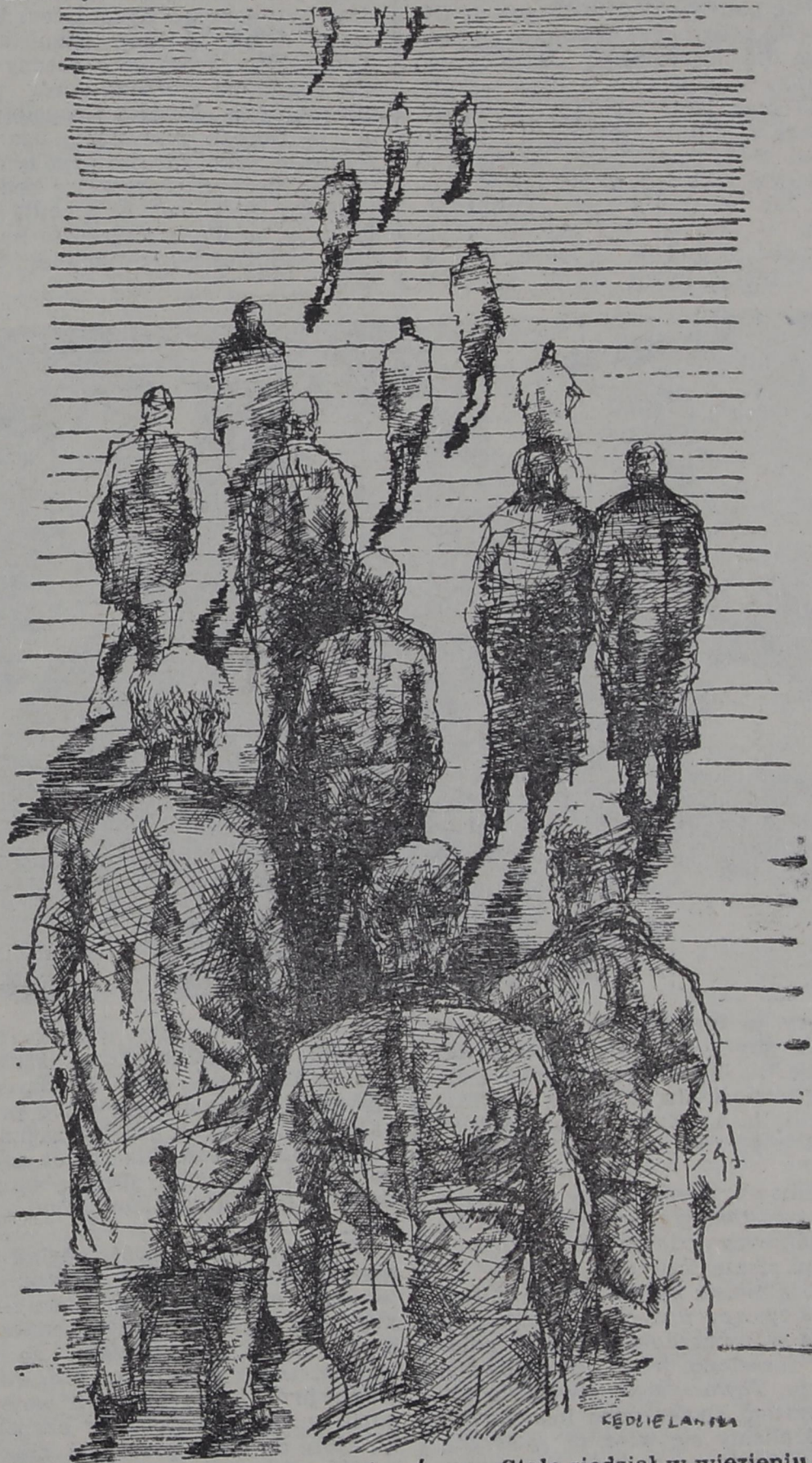
misjonarz w czerwonym krawacie

IV

jechali do Francji w poszukiwaniu pracy. Mawiałem im, że wykonują najbardziej brudną i najgorzej płatną robotę, nie mają żadnych praw, poza prawem do pracy. Strajkują wprawdzie, tylko że te strajki organizowane są przez Francuzów.

Pracowałem w kopalni sumienia. Miałem przyjaciół górników i w organizacji, gdyż byłem jedynym człowiekiem, który mógł z pierwszej ręki coś powiedzieć o starym kraju. Górnicy i ich żony godzinami wypytывali mnie o wszystko. Schodził się w kawiarenkach, odległych i kilkanaście czasem kilometrów, i przy szklance wina gadałem, aż mi sucho w gardle było. W tym czasie sprawa strajków robotników francuskich była najgłośniejsza w całym świecie. Przodowali w nich górnicy. Polacy masowo zabierali się z niespokojnej Francji i jechali do kraju: do Wałbrzycha, No-

działu na dzieci, zmniejszał się ciągle. Mój dziadek miał jeszcze 30 hektarów ziemi, a gdy podzielił ją na 9 osób, każdej przypadła zaledwie 3-hektarowa działka. Matka, jak twierdził, przejechała swoją i zamierzała udać się do Ameryki ze swym kochankiem, byłym wójtem Sosnowskim. Ale wójt pojechał sam i ją zostawił; zabrał za to jej mienie. Twierdził, że mu się należy, bo wójt i opierunek matka moja u niego miała. Potem, żeby wyjść ponownie za mąż za Grochowskiego, o 15 lat młodszego od siebie, pojechała pozbyć się mnie do Wilna. Pobyła tam kilka miesięcy, uciekla ze szpitala, przyjechała do wsi. Opowiadała wszystkim, że umarł; nikt nie dochodził, czy to prawda. Kiedy się znalazłem, było jej nieswojo. Sztyło wyszło z worka. A ten Grochowski to zakazał wsi, że nie daj Bóg takiego chłopca.



wej Rudy, Górc, Boguszowa i innych miejscowości. Polska ich przyjmowała jak swoich synów.

Ja tkwiłem tam. Czasem listy otrzymywałem. Nabierałem męskości i hartu. Pisać do domu nie mogłem ani do swych kolegów. Przepadłem dla nich jak kamień w wodę. Już nie pragnąłem widzieć swej rodziny. Czułem dla niej chłód i wzgardę. Winię za to tylko własną matkę, która mnie wydała na świat. Zawsze mi powtarzała: — Ty mi niepotrzebny. A jak banda chciała zaszkołdzić ci, to powiem władzy, że ty hrabiowski syn herbu powalona polana. Tak zwiczniesz ta kariera swoja.

W grudniu 1949, na samo Boże Narodzenie, powróciłem do swojej wsi. Matka mnie przyjęła jak nałogowego pijaka. Miała pod pachą dwa litry perłówki.

— Patrzaj, com ja ci przyniosła. Toż ty już mężczyzna! Wódka już pewnie pijesz.

Zal mi się matki zrobiło. Ta kobiecina chce mnie pozyskać przez wódkę. Pojechałem do wujka. Powiedział mi to, o czym nigdy nie mówiła moja matka. Faktem jest, że pochodzimy po kądzieli ze znacznej rodziny. Majątek, w wyniku po-

— Stale siedział w więzieniu przed wojną. Co wyszedł, tak dziecku zrobiwszy i ponownie do ciupy zamknęli. Raz ja jechawszy na bazar, on stoi z obrazanką i strzela do mnie. Jak poderwawszy się z wozu i dawaj ze swojej obrezanki strzelać do niego. On uciekawszy, ja za nim. Wszystkie chodzą o ta ziemia, bym ja i moi bracia, a twoi wujkowie, oddali chociażby po hektarze. Za co miał ja dawać hektar ziemi, kiedy ona przehuławszy swoja? Ja żenił się ze starszą babą, by połączyć gospodarstwa, a teraz miał dzielić jeszcze? I tak my sudził przed wojną stale. Wojna sudy zakończywszy. Ale wrogami to my jeszcze na dystans jesteśmy. Bo ta rana nikt nie zapomni. A ty matce niepotrzebny był. Był potrzebny tylko do roboty, za parobka ciebie miała. Kiedy ty wyjechał do wojska, to jej nie miał kto robić. Ona umiała nagadać, że jej mąż na froncie zginął, wyszedł za Budziszynem, w ataku szedł. Nawet świadziele znalazła. A rzeczywistość było tak: jak przyszły sowieci do nas w 1939 r., Grochowski napadł na popa i za broda go ciągnął po całej wsi. Wiesz, u nich równouprawnienia religijna była wtedy. Zamknęli go i koniec. Mat-

ka twoja teraz koniunkturę złapała i wszem twierdzi, że mąż byw prześladowanym komunistą, a ona to komunistka zatwierdziła taka, jak ksiądz. A Sosnowski to zwykły oszust miejski. Zakupił siebie ziemię, bo spekulował w mieście, i tak ulokowawszy kapitału, zdobył siebie wójtowstwo. Ponieważ my z rodziny hrabiowskiej, z tym powinowatych Brazelonów, ot i jemu zechciała się dostać tytuł. Ziemię prodaw, jej diecia zrobie i ujechał do Ameryki.

Gadanie wujka mogło moralnie człowieka zniszczyć. Przed wojną był kryminalistą, ale karę odsiedział i wrócił do społeczeństwa. Potem, jak każdy dobry obywatel, poszedł walczyć o lepszą Polskę, sprawiedliwszą. Ojczym zginął na froncie po Budziszynem. Potwierdził to dowódca jednostki. Doszedłem do wniosku, że walka między nimi trwała nadal i że każdy starał się drugiemu kłode podłożyć w dogodnej chwili. A ja służyłem za stół do rozgrywki dla stron. Poszedłem sobie. Czy po to przeszedłem te trudne koleje życia, aby teraz odbijały się o mnie wszystkie rodowe grzechy? Ja miałem być sędzią i mścicielem rodu? Wiele słyszałem takich pogroźek: — Jak wróci Edzka, to ci pokaż! Morda zbija na kisa jabłko!

Pracując społecznie poznałem moją dzisiejszą żonę, Janinę Wasilewską. Zaraz po weselu zabrałem żonę do swego mieszkania. Miałem jakieś takie umeblowanie, łóżko małżeńskie i koldry, stół, krzesła, fotel. Moja już była w ciąży. Matka nam wepchnęła na mieszkanie moją siostrę, po szkole zawodowej. Potem pojechała do Chojnicz przebarbować płaszcz. Przyjechała — mieszkanie ogołocone ze wszystkiego. Po drodze powiedziały jej sąsiadki, mieszkające przy dworcu, że widziały moją matkę z Teresą jak niosły toboły, z obrusów stołowych. Co miałem robić? Własną matkę do więzienia wsadzić? Bardzo to przeżyliśmy, bo zabrały nam nawet pierzynę żony, którą dostała od rodziców w wianie. Pogodziliśmy się z losem. Wstydziłem się przed moimi teściami za wybryk matki i siostry. Ledwo ich namówiłem, by nie skarzyli do prokuratora. Pal ich lichu.

Kiedy urodziła się nam Basia, miałem tylko ślub kościelny. Konieczne chciałem mieć żonę z prawdziwego zdarzenia, choć pracę wykonywałem niebezpieczną, bo i czasy były niełatwe. Formalności należało jak najszybciej uregulować, a ja metryki nie miałem. Matka pogniwiała się po ostatniej eskapadzie i nie chciała mi jej załatwić. Sprawę skierowałem do sądu. Sąd wezwał mnie, moją matkę i wujka Kazika; wypytывał, co i jak. Matka wypierała się mnie, jak mogła: że mnie nie zna, że jestem przybłędą i szukam koło niej miejsca. A byliśmy podobni do siebie jak dwie krople wody. Sędzia miał nie lada orzech do zgryzienia. Zaproponowałem, że postaram się poszukać innej matki, jeżeli ta nie chce. Sąd kazał sprawę rozwiązać inaczej. Znany u nas biolog Karczewski wezwał mnie do siebie i polecił zrobić ekspertyzę krwi i pomiary antropologiczne. Potem przedłożył sprawozdanie. Sąd uznał, że ona jest moją matką. Znow wypierała się mnie, jak mogła. Chciała koniecznie ukryć swe panięskie sprawy. Sąd: — Człowiek żyje i urodziła go pani. Przed paną jest synem. Inna by się cieszyła, że zdrowego z pożogi wojennej ma przy sobie, a pani wyrzeka się go.

Przypomniał też, że jak pracowałem i pomagałem, wówczas głosiła sąsiadom, że jej syn. A teraz, kiedy trzeba pomóc, bo chłop ma już dziecko i czas mu na żeniactwo, wówczas matki nie ma. Określił dokładnie datę moich urodzin. Wówczas matka by postawić przy swoim, o całe dwa lata zrobiła mnie starszym.

— Taka moja zemsta dla ciebie! — powiedziała.

Tak i zostało do dnia dzisiejszego. Kiedy miałem już dokumenty, żonie nie bardzo podobało się moje francuskie nazwisko. Przedtem nosisłem na końcu „-ski”, to mówiło o pochodzeniu.

Zaraz po sprawie i uprawomocnieniu się wyroku wziąłem ślub cywilny w USC w Szczecinku. Jaki to był ślub! Aż śmiech bierze. Wówczas nie przywiązywano do cywilnego wielkiego znaczenia. Przyszedłem: brak świadków. Więc ludzie nieznani świadczyli sobie nawzajem. Może mieli szczęśliwą rękę? Tyle lat już żyjemy razem.

WODNIK — EDWARD APANEL

13

KONTAKTY
1. XI.1981

pokolenie



PREZENTACJE

pod własnym
pomnikiem

Na skraju miasta sterczał kikut byłego pałacu. Wokół gruzu. W centrum, na wyspie między odnogami rzeki wielka wydma — wysypisko śmieci. Dalej rynek z „kocimi łbami”, z jednej strony przystanek PKS, najokazalszy w mieście budynek mleczarni i budynek jak sklepcone prowizorki kramarzy, po drugiej — knajpa podmywana gnojówką z chlewu vis a vis, w której ładowali klienci usuwani z lokalu wprawna ręka kelnera. Tak wyglądał w sierpniu 1956 roku Ciechanowiec, gdy obecny dyrektor tamtejszego Muzeum Rolnictwa, a zarazem inicjator Towarzystwa Miłośników Ciechanowca, Kazimierz Uszyński zaczął w mieście pracę. A tak pisał o nim 23 lata później w folderowej broszurze: „W latach 1966—71 Ciechanowiec zostaje pięciokrotnie laureatem wojewódzkiego konkursu na najczystsze i najbardziej gospodarne małe miasto. W tym czasie zostaje również dwukrotnie wyróżniony nagrodami w krajowym konkursie „Mistrza Gospodarności”. [...] W 1972 roku za szczególne wyniki prac społeczno-gospodarczych roku poprzedniego Ciechanowiec zostaje wyróżniony tytułem „Mistrza Gospodarności” w grupie miast do 5 tys. mieszkańców. Dodatkowa mobilizacja społeczeństwa i pomoc środków otrzymanych jako nagrody, przy jednoczesnym poparciu władz województwa białostockiego przynosi miastu największe z dotychczasowych wyróżnień: tytuł „Arcymistrza gospodarności” wśród małych miast w 30-lecie PRL (1974 r.) — Konkursy trafiły na dobry grunt — uzupełnia autor — 80 proc. domów legło w ostatniej wojnie w gruzach. W mieście kwitnącym przed wojną handlem i rzemiosłem, zdławiono w latach pięćdziesiątych próby przywrócenia merkantylno-rękodzielniczego splendoru. Rolnictwo było nędzne. Rzutka młodzież odpływała do dużych miast. W szesnasty rok powojennej historii, Ciechanowiec wnosił niezadowolone z sytuacji, ale równocześnie marazm. Położenie bytowe ludzi bardzo przypominało warunki obecne.

— Na początku lat sześćdziesiątych zostałem I sekretarzem Komitetu Miejskiego PZPR w Ciechanowcu. Społecznym. Zawodowo kierowałem internatem liceum ogólnokształcącego — i jakby mało było obowiązków — uczyłem w nim astronomii i przysposobienia obronnego. — Mirosław Kulesza przeprasza, co chwilę wychodząc z pokoju. Słyszę dyspozycje z korytarza. Zbliża się rok szkolny. Dla Kuleszy (jak dawniej kierownika internatu), to okres przygotowań na przyjęcie uczniów. — Na zebraniu Komitetu Miejskiego zapraszałem wszystkie osoby pełniące ważniejsze funkcje w Ciechanowcu. Uzgadniał, co trzeba wykonać i za tydzień było rozliczanie. Delikatnie, po koleżeńsku, a jak trzeba to i ostro. Klóćliśmy się też zdrowo na naradach, ale nikt na nikogo za ostre słowa się nie obrażał, bo szło o sprawę miasta, a nie osobiste wymówki. Może mniej u nas było dyskusji o polityce, ale za to więcej konkretnych przedsięwzięć w sprawach lokalnych. Zaczęła się też wówczas ożywiać miejska rada narodowa. Był rok 1962. Wtedy zrodził się pomysł powołania Towarzystwa.

Przyszli z nim na otwartą sesję rady miejskiej (każdy obywatel miał prawo wstępu), wtedy jeszcze nauczyciel, Kazimierz Uszyński. Wyczytał w gazecie o nowopowstałym Towarzystwie Miłośników Ciechanowca. Podobnie nazw obu miejscowości — podszeptało mu podobną ideę. Sztynne przepisy rejestracyjne organizacji społecznych nie osłabiły za pału wielu chętnych, którzy podchwycili pomysł. Sympatycy pięćdziesięcioletniego grodu skryli się pod najlepszym z możliwych ówczesnych szyldów: Społecznym Komitetem Aktywizacji Miasta, potem — oddziału Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Białostockiej. Kulesza dopowie jeszcze po latach, że „był to taki Front Jedności Narodu. Pod hasłem FJN słabo by się działo, a etykieta Towarzystwa była nader efektywna. Pytałem obywatela: — Co, nie jest pan miłośnikiem Ciechanowca? Nie lubi pan swego miasta? Delikwent nie miał wyjścia, a jak nie miał wyjścia, musiał nam pomóc. Był to

może mały szantaż, ale w dobrej sprawie”.

Metoda delikatnego nacisku nie zawiodła. 81-letni doktor medycyny Paweł Olszewski, jeden ze współzałożycieli organizacji i współtwórca ciechanowieckiego cudu gospodarczego, którego odwiedziłem w Bogutach Piaskach, gdzie ostatnio mieszka, miał szczególną okazję do jej mądrego zastosowania. Legenda o doktorze okolica żyje do dziś. Przed wojną uznany za wroga sanacji, po wojnie za ciechanowieckiego antysocjalistę nr 1, jest po prostu człowiekiem, który ma skrytalizowane poglądy i umie ich bronić bez względu na okoliczności. Doktor, odesłał mnie do opinii mieszkańców miasta, jako bardziej wiarygodnej wizytówki jego osoby. Zdania anonimowych i przypadkowych rozmówców potwierdziły obraz, jaki wyłożył mi się pośrednio z rozmowy, a raczej opowieści doktora o jego doświadczeniach przedwojennych, okupacyjnych i obecnych. Charakterystyczne go trzeba powiedzieć co najmniej, że jest to jednostka oryginalna, odważna, prawdomówna, o duszy społecznika. Ludzie pamiętają do dziś, jak dr Olszewski ufundował prywatne stypendium dla najlepszego, niezamożnego ucznia w ciechanowieckiej szkole, gdzie czas jakiś wykładał botanikę. Lekarz zasłynął z rzetelności i fachowości medycznej. Przez długie lata pracował jako jedyny medyk w okolicy, ale też stał się czołową okolicznością — gabinet był czynny przez kilkanaście godzin na dobę. Czy w tej sytuacji ludzie mogli odmówić

był zespół ludzi, z przewoźnikami na czele — dyrektor Muzeum Rolnictwa wymienia grupę ds. budowy stadionu, domu kultury, szkoły itp. Przewodniczącym miał wyznaczonych zastępców. W razie nieobecności jednej z tych osób, zawsze były pozostałe, co pozwalało na nieprzerwanie robót. Co dwa tygodnie zbierało się prezydium MRN i na bieżąco analizowało przebieg realizacji i najważniejszych przedsięwzięć. Niezależnie od tego również co 14 dni, to samo robiło TMC na swych posiedzeniach. Działał więc system podwójnej kontroli. Zebrania Towarzystwa były ponadto o tyle wspierające działania urzędów, że odbywały się w atmosferze koleżeńskiej, a nie służbowej. Prym wiodł tu dr Olszewski, którego sposób bycia pozwalał na łagodzenie sporów i przyjazny ton dyskusji.

★

Okazały budynek geesu, którego sekret szybszego powstania (a może w ogóle powstanie) kilka godzin wcześniej zdradził mi były I sekretarz, mieści dziś na parterze restaurację i kawiarnię „Złoty Kłos”. Siedząc przy kawie z dyrektorem tutejszego domu kultury, Stanisławem Tymińskim pytam go o obecny sposób spędzania wolnego czasu przez mieszkańców „Mistrza Gospodarności”. — Dorośli przeważnie udzielają się towarzysko, zdrowo przy tym popijając, prowadzą prywatne hodowle zwierząt futerkowych, pracują dodatkowo, myślą o wyjeździe na Zachód; młodzież żyje dyskoteką i sportem.



pomocy w sprawie, którą firmował doktor, gdy zjawiał się nieoczekiwanie we wsi na swym rowerku („nie kupię samochodu, żebyście nie zardzościli, że za wasze pieniądze”) i prosił o pomoc w czynach społecznych?

Darmowy wkład pracy w batalię o mistrzostwo gospodarstwa był dla Ciechanowca jednym z głównych działań strategicznych.

— Nie można było liczyć na dotację, 100 tysięcy złotych do dyspozycji TMC z przeznaczeniem na cele społeczne, określono jako wygórowane ambicje. Towarzystwo stworzyło zatem system społecznego inwestowania. Braliśmy się więc za społeczną budowę i gdy prace były zaawansowane, stawialiśmy władze przed faktem: poszło tyle a tyle starań, ludzkiego wysiłku, czasu, tak dużo już zrobiono, dokończcie resztę w normalnym trybie administracyjnym. Czy władze mogły odmówić? — Kazimierz Uszyński przypomina jak w ten sposób zbudowano dom kultury, kino, muzeum, stadion, szkołę, ośrodek zdrowia, kamping. — Nie storniliśmy od korzystania z pomocy wpływowym znajomym i dyplomatażowania, ale cel uświęcał środki. A efekty było widać z dnia na dzień.

— Kończąc jedno przedsięwzięcie, od razu, z rozpędu szukaliśmy sposobu inicjowania drugiego. — Mirosław Kulesza sięga po przykłady: — Wzniesiliśmy szkołę, zostało sporo materiałów budowlanych. Była alternatywa: albo odwieźć je do bazy w Bielsku Podlaskim, albo przerzucić na nowy plac budowy. Wybraliśmy to drugie. Społecznie przetransportowaliśmy budulec na inny plac, gdzie planowano postawienie geesu. Gdy dyrektor firmy, mającej wykonać to zadanie zobaczył nasze starania, rozpoczęcie budowy znacznie przyspieszył. Wiele działań prowadzono jednocześnie.

— Do każdej sprawy przydzielony

aktywno. Towarzystwo działało sobie, władze sobie. My wtedy nie mieliśmy pełną kontrolę nad sytuacją, a co oświeceni? Tę jednostkę ludzi czuło się. My, mleczarnia i gees przez dwa miesiące pracowaliśmy dzień w dzień po trzy godziny społecznie, robiąc stadion.

— Męża nie ma. Pan w jakiej sprawie? — żona emerytowanego prezesa geesu, Stefana Kamińskiego przelewa na mnie swoje żale do współobywateli Ciechanowca. — Męża nie było dla domu i dzieci. Całe dnie pracował społecznie, a do wywiadów i zdjęć ustawiali się inni, co nie nie robili. Na koniec, gdy odchodził z pracy jeszcze go rozliczano z funduszu reprezentacyjnego. Wie pan jak było, ktoś przyjechał, poczęstować było trzeba.

Henryk Ptasznik, który mimo urlopu i męczącej podróży tego dnia odwiedził mnie późnym wieczorem w gościnnym pokoju, w niedocenianiu ludzkiego wysiłku upatruję jedną z głównych przyczyn osłabienia pracy Towarzystwa.

★

Ptasznik objął funkcję społecznego sekretarza partii po Kuleszy, w 1966 roku, zostając nadal na stanowisku dyrektora miejscowego Banku Spółdzielczego. — Na zebraniach partyjnych nadal zapraszał przedstawicieli ZSL, SD i TMC, uważając, że tematyka tych spotkań jest również ważna dla zapraszanych i nie pomylił się.

Kulesza zrzekł się obowiązków, chcąc poświęcić więcej czasu rodzinie. Proponowano mu stanowisko naczelnika, ale domówił: „Musiałbym dorównać dotychczasowemu, Józefowi Przesławowi, a wiedziałem, że tak nie będzie, bo naprawdę chciałem zająć się domem.” Przesław odszedł na własną prośbę. Tak mu się ułożyła sytuacja życiowa. „Stara gwardia” wspomina go z rozrzewaniem, Olszewski: — Pamiętam, jak organizowaliśmy teatr amatorski, by zebrać trochę pieniędzy na potrzeby miejskie. Naczelnik Przesław był antytalentem aktorskim, ale godzinami siedział u mnie w domu, ucząc się roli i swego dopiął, grał w sztukach. Kulesza: — Od 6 rano był na nogach. Obiecał miasto, zlustrował i zaraz szły dyspozycje, gdy zauważył że coś „nie tak”, a potem — egzekwowanie. Ptasznik: — Przyjeżdżamy z naczelnikiem zasadę wciągania do pracy wszystkich wartościowych ludzi. Stąd bywaliśmy gośćmi u tutejszego proboszcza Wincentego Marczyka, jednego z przywódców powstania warszawskiego na Żoliborzu. Zresztą zasadę tę stosował i Kulesza. Były to bardzo owocne spotkania. Ksiądz proboszcz mocą autorytetu przypominał na kazaniach wiernym, że w ich posesjach ma być porządek jak na święto maryjne. I faktycznie porządek był. Uszyński: Został naczelnikiem w 1964 roku. Wówczas jeszcze „zielony człowiek” na tym stanowisku, ale z ogromną chęcią działania.

★

Rok 1975. Reforma administracyjna. Ciechanowiec z województwa białostockiego przeszedł do łomżyńskiego. Natomiast obiecanie na kilka tygodni wcześniej przez Białystok wysokie nakłady inwestycyjne dla miasta — nie przeszły. — Nie wiem, co się z nimi stało — był I sekretarz Ptasznik opowiada o pismach słanych do wojewody Ziemyty z pytaniami, co z pieniędzmi na szpital i nagrodowymi złotówkami? (Gdzie się podziało 70 milionów przyznanych nam na kilka dni przed reformą przez Białystok na oczyszczalnię ścieków? — pytał retorycznie, dzień wcześniej, Jan Bondarenko). Odpowiadano, że są ważniejsze sprawy.

Z reorganizacją przyszła zmiana kadry i przemieszczanie środków produkcji. — Gdy odchodziłem z funkcji — kontynuował Ptasznik — Łomża nie powiedziała mi nawet „dziękuję”. Maszyny otrzymane przez nas po „banku miast” poszły do Wysokiego Mazowieckiego.

★

— To dziwne — powiedział mi Mirosław Kulesza, gdy zegałem się z nim, a zarazem z Ciechanowcem — jest pan pierwszy, który zechciał wrócić do tej przeszłości. O nas się nie pamięta. Moje odejście z funkcji sekretarza było bardzo ciche, niezauważone. Nie w tym rzecz. Ta cisza trwa nadal. Był człowiek, nie ma człowieka. A ja, mimo wielu zajęć, czuję, że gdyby coś się ruszyło w mieście, jeszcze bym znalazł siły i pokazał, jak można pracować.

JULIUSZ ŚWIĘDO
Fot. GABOR LÖRINCZY



kronika towarzysko-rodzinna



29.10.1981 **TV** 4.11.1981

CZWARTEK 29 PAŹDZIERNIKA 1981 R.
PROGRAM I

6.00. TTR, RTSS — język polski, sem. III. 6.30. Biologia, sem. III. 8.10. Zoologia, kl. VII. 11.00. Muzyka, kl. II. 13.30. TTR, RTSS — chemia, sem. I. 14.00. Biologia, sem. I. 14.30. „Jak wprowadzać reformę gospodarczą?”, 16.25. Program dnia. 16.30. Dziennik TV. 17.00. Czwartek TDC, m.in. „Spadła z obłoków” (6). 17.55. „Pamięć nieprzemijająca”. 18.20. „Sonda”. 18.50. Dobranoc. 19.00. „Kryształ” — film TVP. 19.30. Dziennik TV. 20.15. Teatr Sensacji — Peter Cheyney: „Kat czeka niecierpliwie”. 21.00. NURT: „Cywilizacja i kultura współczesna”. 21.30. 24 Godziny. 21.40. Wieczór Filmowy.

PIĄTEK 30 PAŹDZIERNIKA 1981 R.
PROGRAM I

6.00. TTR, RTSS — chemia, sem. I. 6.30. Biologia, sem. I. 11.55. Wychowanie obywatelskie, kl. VIII. 13.30. TTR — hodowla zwierząt, sem. III. 14.00. Mechanizacja rolnictwa, sem. III. 15.40. Redakcja Szkolna zapowiada. 15.55. NURT: „Porozmawiajmy”. 16.25. Program dnia. 16.30. Dziennik TV. 17.00. „Piątek z Pankracym”. 17.25. „Życie na Ziemi” (2) — „Żywe konstrukcje”. 18.20. „Camerata”. 18.50. Dobranoc. 19.00. „Monolog trebacza” — film TVP. 19.30. Dziennik TV. 20.00. Monitor Rządowy. 20.30. „Na drugiej linii frontu” (7) — „Noc z 19 na 20 października”. 21.55. „Bistro” — program rozrywkowy produkcji RFN. 22.35. Dziennik TV.

PROGRAM II
18.15. Wieczór Telewizji Katowickiej. 18.20. „Ślask bez mitów” — program publicystyczny. 18.35. „Gershwin po polsku” — impresje muzyczne. 19.00. Program lokalny. 19.30. Dziennik TV. 20.00. „Sokołowski w Katowicach” — program kabaretowy. 20.30. Magazyn górniczy. 20.55. I Liga hokeja na lodzie. 21.45. 24 Godziny. 21.55. „Pomalować, pozłocić” — reportaż filmowy. 22.10. „Człowiek tego czasu” — etiuda poświęcona Ojcu Kołbe. 22.30. „Kontrowersje wokół exodusu Wojciecha Kilara. 22.45. Ballady Bulata Okudźawy.

SOBOTA 31 PAŹDZIERNIKA 1981 R.
PROGRAM I

6.00. TTR, RTSS — hodowla zwierząt, sem. III. 6.30. TTR — mechanizacja rolnictwa, sem. III. 9.00. Magazyn nastolatków — „Sobótka”. 14.35. Program dnia. 14.40. Siedem anten. 16.00. Monitor Sejmowy. 16.30. Dziennik TV. 17.00. „Wędrowki z kamerą” — „Pingwiny Magellana”. 17.30. „Gwiazdozbiór” — Władysław Kowalski. 18.20. Spotkanie z pisarzem — Andrzej Braun. 18.50. Dobranoc. 19.00. „Ostatni piasek” — film TVP. 19.30. Dziennik TV. 20.15. „Syberjada” (1) — radziecki film fabularny. 22.05. „Bliisko i daleko”. 22.35. Dziennik TV. 22.50. „Nastroje” — program rozrywkowy.

PROGRAM II
16.35. Program dnia. 16.40. Militaria, obronność, nowoczesność. 17.10. „Ligabue” (2) — włoski serial biograficzny. 18.20. „Kolokwium”. 19.00. Program lokalny. 19.30. Dziennik TV. 20.00. Program muzyczny. 21.20. 24 Godziny. 21.30. „Między wiosną a jesienią” — film dokumentalny. 22.00. „Telefon 110” — „Zmęczony samotnością”.

NIEDZIELA 1 LISTOPADA 1981 R.
PROGRAM I

7.10. TTR, RTSS — „Wiedza nasza szansa”. 7.30. Nowoczesność w domu i zagrodzie. 8.00. „Tydzień” — magazyn rolniczy. 8.45. Telewizjada. 9.00. Teleranek. 10.25. Program dnia. 10.30. „Antena”. 11.00. „Tajemnice sztuki nowoczesnej” — eks-presjonizm. 12.00. Dziennik TV. 12.45. PGR — po nowemu. 13.15. „Piórkiem i węglem”. 13.45. Program publicystyczny. 14.15. „Przygody Sindbada”. 15.00. Wszystko o reformie. 15.30—23.10. TYLKO W NIEDZIELE. 15.35. Pomnik Powstania Warszawskiego (1). 15.45. Pytania na dziś. 16.00. Pomnik Powstania Warszawskiego (2). 16.10. Konferencja prasowa z Józefem Tejcym. 16.45. „Lalka” (3) — „Wielkopolskie zabawy”. 18.05. Godzina z Krzysztofem Nawussi. 19.00. Pomnik Powstania Warszawskiego (3). 19.10. „Czarodziejski ptak”. 19.30. Dziennik TV. 20.15. „Pod własnym ogniem” — angielski film fabularny. 22.40. Sportowa Niedziela.

PROGRAM II
13.10. Program dnia. 13.15. „Nieznany żołnierz” — program wojсковy. 13.45. „Spacerek staromiejski” — impresja dokumentalna Andrzeja Munka. 14.10. „Ze-

zowane szczęście” — film fabularny. 16.30. Teatr Wspomnień — „Pan Tadeusz”, księga X — „Emigracja. Jacek”. 17.30. „Obrzędy Ludowe w Homolju” — film dokumentalny. 18.00. „Stereo i w kolorze”. 19.30. Dziennik TV. 20.00. „Klejnoty gotyku” — film dokumentalny. 20.25. „Bernardo Belotto zwany Canaletto” — film dokumentalny. 20.55. „Rzeźby Konstantina Brancusi” — film dokumentalny. 21.15. „Z ziemi wyrosłem” — film dokumentalny. 21.50. „Strzelec wyborowy” — bułgarski film fabularny. 22.40. Filmy Stanisława Różewicza: „Na melinę”.

PONIEDZIAŁEK 2 LISTOPADA 1981 R.
PROGRAM I

13.30. TTR, RTSS — matematyka, sem. III. 14.00. Mechanizacja rolnictwa, sem. III. 15.50. NURT: „Miejsce i rola filozofii w kulturze”. 16.25. Program dnia. 16.30. Dziennik TV. 16.50. Zwierzynek. 17.30. „Ile jest życia” (6) — „Nadziei za grosze”. 18.20. „Skarblec”. 18.50. Dobranoc. 19.00. „Fernando i humaniści” — film TVP. 19.30. Dziennik TV. 20.15. Piotr Czajkowski: I Koncert Fortepianowy. 21.10. Teatr Telewizji — Rainer Maria Rilke: „Mój wczaj szpiezacy” w reż. Andrzeja Maja. 22.05. Program publicystyczny. 22.40. Dziennik TV.

PROGRAM II

18.15. Wieczór Telewizji Krakowskiej. 18.20. „Zdarzyło się dzisiaj”. 18.35. Mił pułku — spotkanie z żołnierzami pułku strzelców konnych. 19.00. Program lokalny. 19.30. Dziennik TV. 20.00. „Jaskowiec” — saga rodu chłopskiego. 20.30. 200 lat sceny narodowej w Krakowie. 20.45. „Antybractwo dobrej śmierci” — film dokumentalny. 21.05. Grupa „Pod budą”. 21.30. 24 Godziny. 21.40. Program publicystyczny. 22.00. „Mozart” — widowisko muzyczno-biograficzne.

WTÓREK 3 LISTOPADA 1981 R.
PROGRAM I

6.00. TTR, RTSS — matematyka, sem. III. 6.30. Mechanizacja rolnictwa, sem. III. 9.55. Plastyka, kl. II. 12.45. Język polski, kl. IV lic. 13.30. TTR, RTSS — język polski, sem. I. 14.00. Matematyka, sem. I. 14.30. Jak wprowadzać reformę gospodarczą? 16.25. Program dnia. 16.30. Dziennik TV. 16.50. „Michałki”. 17.20. Polska Kronika Filmowa. 17.30. „Gleida”. 17.40. Telewizja Młodych — CDN. 18.10. Rolnicze rozmowy. 18.20. Interstudio. 18.50. Dobranoc. 19.00. „Nos” — film TVP. 19.30. Dziennik TV. 20.15. „Bitwa o ciężką wodę” — francuski dramat wojenny. 21.55. „Listy o gospodarce”. 22.40. Dziennik TV.

PROGRAM II

17.45. Język angielski dla zaawansowanych (4). 18.15. Program dnia. 18.20. Wieczór publicystyczny społecznej. 18.30. Jak przetrwać zimę — obawy i prognozy. 19.00. Program lokalny. 19.30. Dziennik TV. 20.00. Jak przetrwać zimę — pomóżmy sobie sami. 21.20. 24 Godziny. 21.30. Wtorek Melomana. 22.30. Jak przetrwać zimę — czego oczekujemy.

ŚRODA 4 LISTOPADA 1981 R.
PROGRAM I

6.00. TTR, RTSS — język polski, sem. I. 6.30. Matematyka, sem. I. 9.00. Fizyka, kl. IV. 9.55. Praca — technika, kl. I. 13.30. TTR, RTSS — język polski, sem. III. 14.00. Biologia, sem. III. 15.55. NURT: „Innowacje metodyczne w nauczaniu matematyki”. 16.25. Program dnia. 16.30. Dziennik TV. 16.50. Kino TN — „O pracy i lenistwie”. 17.40. Film fabularny. 18.50. Dobranoc. 19.00. „777” — film TVP. 19.30. Dziennik TV. 20.25. Puchary Europy w piłce nożnej: Lausanne Sports — Legia Warszawa. 22.15. Dziennik TV. 22.30. Program publicystyczny.

PROGRAM II

17.15. Język francuski (4). 17.45. „Czy więcej wiemy?”. 18.15. Wieczór Telewizji Poznańskiej. 18.20. Program publicystyczny. 19.00. Program lokalny. 19.30. Dziennik TV. 20.00. „Nie wypadliśmy najlepiej” — reportaż o zajęciach w Koninie. 20.30. „Zaczarowany świat operetki”. 21.10. „Niezgoda” — reportaż o waśniach dzielnicowych. 21.40. 24 Godziny. 21.50. Piotr Czajkowski: III Symfonia D-dur.

Ogłoszenie drobne

„FIATA” 126 p — sprzedam. Łomża, Nowogródzka 114.

p 1227-00

W dniu 30 października o godz. 19.00 i 21.00 w klubie „Bonar” wystąpi Kwartet Jazzowy Janusza Muniaka z K...

zima za pasem

Z Prezydentem miasta Łomży, Jerzym Nowelskim rozmawia Danuta Wroniszewska.

— Jaka będzie ta zima?
Jerzy Nowelski: — Prawdopodobnie krótka i ostra.

— A w mieszkaniach?
— J.N.: — Umiarkowanie ciepła.

— Umiarkowany optymizm?

J.N.: — Bardzo ostrożny: Ciepłownictwu na razie starczy opału do 15 grudnia. Czekamy na dalsze dostawy. Zaopatrzenie w węgiel dla prywatnych odbiorców zrealizowaliśmy w 50 procentach.

— To znaczy, że tylko połowa potrzebujących ma węgiel, czy też wszyscy po połowie swego przydziału?

J.N.: — Ci, którzy pobierają do 2 ton dostają od razu cały przydział, ci co więcej — połowę. Nie możemy dzielić na drobniejsze raty, ze względu na wysoki koszt transportu.

— Są więc tacy, którzy nie mają ani kilograma węgla.

J.N.: — Mam rezerwę 50 ton węgla i z przydziału obywatela mogę wcześniej dać do 300 kg, żeby w cieple czekał na swoją kolej. Jak wiadomo, wprowadziłem listy i teraz kolejka przychodzi do obywatela, bez potrzeby wystawiania w niej.

— Nie skróciło to jednak okresu oczekiwania.

J.N.: — Dostawy węgla, choć częste i regularne, są za małe. Sledzimy każdy wagon od chwili opuszczenia kopalni, żeby się nie zawieruszył po drodze, jak to się już zdarzało.

— Kto ma pierwszeństwo w zaopatrywaniu się w opał?

J.N.: — Ciepłownictwo, rolnicy, szpitale, żłobki i przedszkola.

— Kto będzie marzył w pierwszej kolejności?

J.N.: — Urzędy, biblioteki, kluby, szkoły.

— Czy rolnicy i posiadacze pól nie mogliby korzystać z drewna marnującego się w lasach?

J.N.: — Mogliby. Dogadaliśmy się z nadleśnictwem. W okolicy Łomży drewno jest już zebrane w sterty, gotowe do kupienia i wywiezienia.

— Po ile?

J.N.: — Prawie za darmo: 70 zł za metr.

— Dlaczego nie ma na nie chętnych?

J.N.: — Niektórzy rolnicy korzystają z niego, ale większość woli postać nawet trzy doby w kolejce za węglem niż rąbać drewno. Ludzie z miasta odstrasza koszt transportu: aby przywieźć drewna za 140 zł trzeba zapłacić 2 tysiące. Na szczęście związki branżowe wyraziły chęć załatwienia tańszego transportu zakładowego i będziemy rozprawać drewno przez zakłady i instytucje.

— Bardzo trudno ciepło uzyskać. Należałoby więc pomyśleć, jak go niepotrzebnie nie tracić.

J.N.: — Tym bardziej, że nie przewidujemy, żeby na węglach w kotłowniach było więcej niż 22 stopnie C, a w mieszkaniach 18. Dlatego już od wczoraj powinniśmy mieć uszczelnione okna.

— Czym?

J.N.: — W najlepszym przypadku zwykłymi paskami papieru z klejem własnej produkcji z wody i

Janusz Szablowski mieszka w Konarzycach, tam pracuje na własnym gospodarstwie i również tam przed dwoma laty na zabawie poznał swoją młodszą żonę, Marzannę Dziemińska. W pogodny październikowy dzień swojego ślubu Ona marzy o tym, by byli razem szczęśliwi, a Jej horoskop mówi: „Twój sukces jest pewien”. On pragnie jak najprędzej mieć syna, a Jego horoskop zapewnia: „nie wahaj się, decyzja jest słuszną, pierwsza próba przyniesie oczekiwany rezultat”.

☆
Hanna Milewska z Siemienia 23 października, w dniu swojego ślubu, obudziła się bardzo przerażona. Sniło się Jej, że przyszły mąż nie przybył na tę wspólną uroczystość. Oczywiście sen się nie sprawdził i dziś razem z Jerzym Dudkiem z Łomży z radością wspominają lu-towe wesele koleżanki, na którym oboje się poznali. Państwo młodzi wspólnie pragną wielkiego szczęścia małżeńskiego i jak najszybszego otrzymania mieszkania.

reglamentowanej maki. Mieszkańcy też sami powinni dbać o szyby. 17 procent wstawionych ostatnio szyb jest strzaskanych. Specjaliści twierdzą, że można je wstawiać dopiero wtedy, gdy mróz zapędzi dzieci do domów.

— Szyby nie są jeszcze w cenie kryształu?

J.N.: — Być może będą równie nieosiągalne. Dlatego też, gdy ich zabraknie trzeba będzie zabijać okna zwykłą dyktą, nie zwracając uwagi na estetykę. Pamiętać też należy o zamykaniu drzwi w klatkach.

— Przeważnie same się zamykają i to z ogromnym hukiem.

J.N.: — Można to zamortyzować, chociażby przez przybicie do automatu kawałka gumy. Podejrzewam jednak, że mimo opatrzenia okien i drzwi nie będzie za ciepło i nawet przy tych 18 stopniach ludzie włączą grzejniki elektryczne, a wtedy znaczna wysiadą bezpieczniki. Zawatowanie ich grubym drutem spowoduje, że będą wyskakiwać te na słupach. Na ich wymianę trzeba czekać co najmniej dwie godziny.

— Ludzie włączą piecyki elektryczne pod warunkiem, że akurat będzie prąd.

J.N.: — Z wyłączeniami trzeba się liczyć. Trudno przewidywać ich częstotliwość.

— Nie chcę sobie nawet wyobrażać grudniowego popołudnia w zimnym i ciemnym mieszkaniu, bez radia i telewizji oraz, przypuszczalnie, bez wody.

J.N.: — Przepompownia, podobnie jak szpital, WUT i inne zakłady, mają własne agregaty prądoworów. Są jednak kłopoty z zainstalowaniem agregatu przy każdej studni.

— Niedogranie mieszkań, szkół i zakładów spowoduje nieunikniony wzrost zachorowań na grype, anginę i zwykłe przeziębienia. Leków z pewnością nie mamy więcej niż normalnie.

J.N.: — Mniej. Sytuacja jest bardzo trudna. Byłoby ułatwieniem, gdyby można było sprzedawać je nie w fiolkach, lecz na sztuki. Niestety, nie można.

— Prawdopodobnie wstrzymano również produkcję gipsu, więc nie wolno nam łamać karków, rąk i nóg na śliskich ulicach.

J.N.: — Po pierwsze: nie sadzę, aby gipsu zabrakło na złamania. Można oszczędzać jedynie na zwichnięciach. A poza tym, dlaczego mielibyśmy łamać kończyny częściej niż normalnie? Soli i piasku nie powinno zabraknąć. Nie mogą jednak gwarantować, że zimą nie będzie w Łomży śniegu, ale wiem, że ulice mają być przejezdne...

— ... a chodniki przechodnie.

J.N.: — I będą. Ale nie muszę koniecznie wywozić wszystkiego śniegu za miasto; on i tak znowu napada, a kilka milionów złotych wydam.

— Pozostaje poza tym nadzieja, że ludzie będą mniej chodzić, bo nie mają zimowych butów.

J.N.: — Radzę wszystkim pospierać we własnych piwnicach. Zaw sze się znajdzie jakaś zapomniana para starego obuwia. Mamy jeszcze w Łomży siedmiu szewców.

— Nawet w całych butach trudno wytrzymać zimą w długim ogonku. Może udałoby się uciąć zimowe kolejki?

J.N.: — To temat na całą drugą rozmowę.

— Dziękuję więc za tę i proszę o następną.

redaktor naczelny Nina Omelczenko — sekretarz redakcji Leon Lomżyński tygodnik społeczny pismo PZPR REDAGUJE ZESPÓŁ: Stanisław Zagórski — redaktor naczelny Stefania Henczelowa — zastępca redaktora naczelnego Alicja Zagórka — fotograf Grun Wiesław Ja Gielbach, Adam Jerzy Socha, Juliusz Swiredo, Władysław Tocki Danuta Wroniszewska, Aleksander Wroniszewski, Stanisław Zielinski — redaktor graficzny Zdzisław Kędzielski — redaktor techniczny Zbigniew Henczel, Kolesia Włodzimierz Pawluczek, Franciszek Płakowski, Andrzej Podulka Teresa Polecka, Zbigniew Siedlecki, Waldemar Szpalinski, Andrzej niki, Andrzej Kozłara, Klemens Krzyżagórski, Piotr Kunciewicz, Marek Kusbą ADRES REDAKCJI: ul. Sadowa 10 18 400 Łomża Tel. 34-95 863249 WYDAWCA: RSW Prasa Książka Ruch — 863249 Nr indeksu 0203-5840 Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności

KONTAKTY

Sennik — przepowiednie
niechybne

FUTRO NAKLADAĆ

Flotę lub okręt widzieć — bogactwo
Folwark — niepomyślność; dla młodych — uśmiech losu
Fontanna — dobra nowina; z mętnej wody — smutek i zgrzyzota
Fortecę widzieć — nieszczęście; zdobyć ją — honory i zaszczyty
Fortepian słyszeć — tęsknota; grać na nim — wesele
Fotograf — poszanowanie wśród przyjaciół
Fotografia — przypomnienie przyjaźni; dać komuś — zaręczyny
Furę widzieć — udasz się w podróż
Fryzjer — wielki smutek
Fujarka, grać na niej — przyjemność
Furmana widzieć — udany zakup w rodzinie
Futro nakładać — pomyślność; futro zniszczone — ubóstwo
Furtkę otwierać — stracić nadzieję
Fuzja, strzelać z niej — wesele
Fundament zakładać — wielki zysk
Gabinet — nieżyczliwe towarzystwo
Gaj — tajemnica miłosna
Gangrena — strata na zdrowiu

Gapić się na ulicy — stosunki z uczonymi
Garb mieć — powodzenie u pici pięknej
Garderoba — pieniądze otrzymać
Gardło poderżnąć — szczęśliwa miłość
Garniec — obmowa
Garniarz — nieszczęście, a nawet śmierć
Garnek — powodzenie w zakupach
Gawrona zobaczyć, albo złapać — przeszkody w pracy
Gałęzie zbierać — zaszczytne odznaczenie
Geografii się uczyć — znajomość z piękną damą
Geś — kłótnie z natrętną kobietą
Geś latające — daleka podróż
Gimnastykować się — nabranie nowych sił
Girlandy — być na zabawie
Gitara — wziętość u panien, lub kawalerów
Gil — miły towarzysz
Glina — nieprzyjacieli czyha na życie
Globus — daleka wycieczka
Głębia, wpaść do niej — utrata zdrowia
Głód czuć — otrzymasz pieniądze
Głowę czesać — zmartwienie
Głosy słyszeć — przyście do zdrowia
Głuchym być — dobre stanowisko
Gniady koń — kłótnia małżeńska
Gniazdo widzieć — szczęście; zniszczyć gniazdo — lub, lub chrzczyny
Gniazdo bociana — duże, niespodziewane szczęście

ZMORY NOCNE

Specjalnością zmy, zwanej też marą, kikimorą, gnieciuchem lub siodłem, było duszenie i wysysanie krwi ludzi uspijonych. Zmora nie gardzi też chudobą — nad inne zwierzęta przedkładając konie.

Zmorą jest każda siódma córka urodzona z tych samych rodziców, co też badacze kultur ludowych, potrafili uzasadnić w sposób wysoce racjonalizowany. Recept na zostanie zmorą upowszechnia się kilka, ale tak czy owak, zmorami najczęściej były kobiety, a jeśli się trafił chłop jak, to nazwano go — zmór.

Technika zmy jest najczęściej ujednolicona: kładzie się na piersiach — czasem wkłada język do ust ofiary, czasem robi w szyi dziurkę i ssie. Pół biedy, jeśli zmora zjawia się w postaci łasicy, szczura lub ryby, ale zdarzały się zmy w postaci i z apetytem konia.

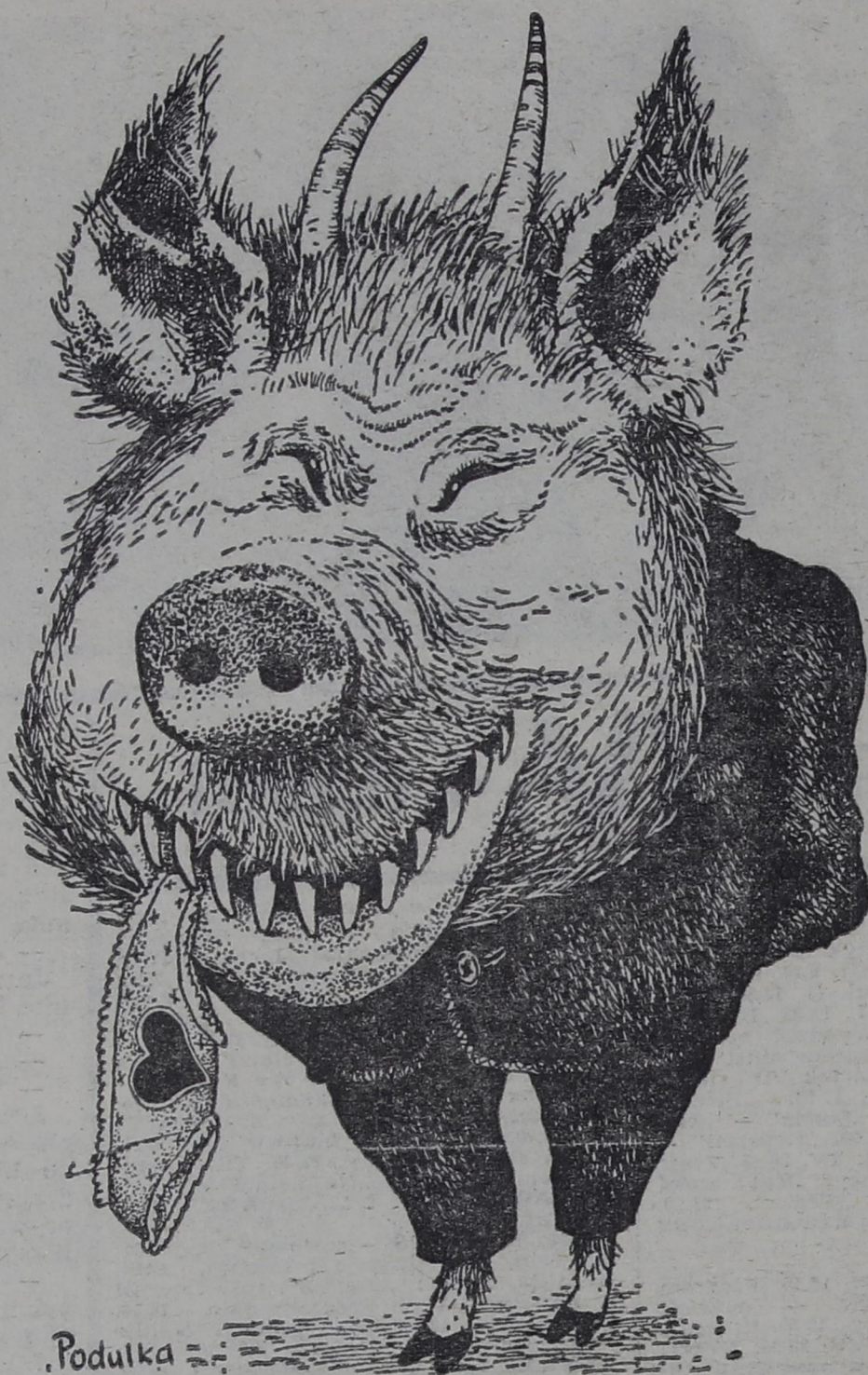
Skutecznym sposobem na zmyr była zmiana pozycji śpiącego. Po u-

łożeniu się na brzuchu i usytuowaniu nóg w miejscu głowy, można było zmorę skutecznie zdegrustować, bo zmora nie wszędzie lubi się przysaść. Gdyby szczęśliwie przebudzonego, udało się zmorę pochwycić w akcji, to natychmiast trzeba ją przybić — gwoździem, jeśli to mysz, nożem lub widłami, jeśli żaba — do ściany czy podłogi. Bywało, że rano, kiedy zmora musiała wrócić do normalnej postaci, znajdowano w chałupie sąsiadkę lub nieznajomą, ale piękną dziewczynę.

Napastowanym przez zmyr zalecano przed snem ruszać dużym palcem u prawej nogi, dobrze też było, tuż przed zaśnięciem wsadzić palec do tyłka, czego zmyr całkiem nie znosił. Nie najgorzej też chroniła przed zmorą szczotka, którą trzeba było położyć sobie na piersiach wlosem do góry i tak spać.

Oprac. A. Koziara

POLSKIE DUSZKI ANDRZEJA PODULKI



Podulka

wieprz dyskotekowy

To, czym się zajmuje, można określić krótko słowem „świntuszenie”. Zeruje na młodych panienkach przychodzących na dyskoteki, biorąc je na lep luksusowego samochodu, willi i szmalu.

Lubi szpanować. Zdarza się, że wyjeżdża za granicę jako POLISH HAM.

2. STAŁA SIĘ CZERNOŚĆ

POMYŚL:
MARCIN WOLSKI
ADAPTACJA I RYS.:
JÓZEF BURNIEWICZ

NAGLE RUNĄŁ SKALNY STÓP STAREJ KOPALNI. „I STAŁA SIĘ CZERNOŚĆ” — Poinformował resztę ekspedycji LEON WRÓBEL. GDYŻ OKAZAŁO SIĘ, ŻE PRZY OKAZJI PRZEPADŁY WSZYSTKIE ŁATARKI, OSKARDY I ŁADUNKI WYBUCHOWE, A KANISTER Z WODĄ ŚWIECONĄ ROZLECIAŁ SIĘ NA KAWAŁKI. UPÓRNY ŚMIECH PODKREŚLIŁ NIESAMOWITOŚĆ POŁOŻENIA.

NIE BRAKUJE NAM JEDYNI ŚWIEZEGO POWIETRZA.

Z FAKTU TEGO WYNIKA, ŻE MUSI ISTNIEĆ DRUGIE WYJŚCIE...

ZNALEZŁEM PRZEJŚCIE...

S JA NIE MOGĘ NAMACAĆ PANNY EWY. CO DOTKNE TO INŻYNIER... CO SIĘ Z NĄ STAŁO?

TO ZNOWU JA!!!

ZNACZY SIĘ UPROWADZOKO PANNĘ EWĘ...

BZDURA! PRZYWA-LIKO JA!!!

JESTEM ZA UPROWADZENIEM...

PRZEPRA-SZAM, PANIE DOCENCIE...

MYŚLAŁEM, ŻE TYLKO PRZYPADKI CHODZĄ PO LUDZIACH.

CDN

POKUSY

Andrzeja Koziary

POKUSY

pod redakcją

POKUSY

organ samoistny

POKUSY